

ZOFJA NAŁĘCZ GOSTOMSKA

Z KANADYJSKICH SZLAKÓW



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1931

AMERICAN SOCIETY

AMERICAN
SOCIETY

AMERICAN SOCIETY

Z KANADYJSKICH SZLAKÓW

ZOFJA NAŁĘCZ GOSTOMSKA

Z KANADYJSKICH SZLAKÓW

*Sous l'oeil de Dieu,
Près du grand fleuve géant
Le Canadien grandit en éperant.
Il est né d'une race fière,
Béni fut son berceau,*

.....



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1931

NOTA MARKA OUSTOMBA

W KANADYJSKICH
STRAKÓW

M U Z E U M
Im. Kazimierza Pułaskiego
Winiary Warski 623



Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM KAZIMIERZA FIGWERA

Cieniom mojej matki

poświęcam

I.

KARTKA Z DZIEJÓW

KARTKA Z DZIĘCIN

Przeżywając we wspomnieniach lata pobytu w Kanadzie, surowy lecz piękny fragment mojego życia, z pomiędzy wielu szczegółów, które pamięć wskrzesza, powracam często myślą do pierwszych dni, przebytych na obczyźnie, w Quebec, dawnej stolicy Nowej Francji nad rzeką św. Wawrzyńca. Godziny spędzane wówczas u balustrady mostu, nad siną wstęgą wielkiej wody, miały dla mnie osobliwy urok. Goniąc wzrokiem śmigłe barki, łodzie i statki, naładowane towarem, słuchając zawodzenia niezliczonych mew, odtwarzałem w wyobraźni te same wybrzeża ale zarosłe borami, a na ich tle przybranych w skórzane odzienia i barwne pióropusze pierwotnych mieszkańców tego kraju. 1a

Przeszłość to może odległa jednak nie zamierzła. Cztery wieki temu Kanada była jeszcze puszczą i prerją, bezkresnem pustkowiem, zasianem tysiącami jezior, a Indianin myśliwy-wojownik w pościgu za zwierzyną albo wrogiem z obcego plemienia przebiegał łańcuchy górskie, stepy, uroczyska,

odpoczywając na łożu z gałęzi pod błękitnem niebem dziewiczej krainy. Letnią porą w pirodze z kory brzozowej, zimą po lodach odbywał dalekie wyprawy, gnany nieprzezwyńczonym głodem przestrzeni i wędrówki. Wichry, burze, mrozy spotykały go na bezdrożach, rozkładającego nędzne obozowisko i krzeszącego ogień z kamieni przed szałasem, okrytym bawolą skórą. Prażyło go słońce, smażyły ulewy, trud i znój stanowiły chleb powszedni, włóczęga wszakże była mu żywołem, a przed niebezpieczeństwem chronił nieomylny instyunkt koczownika.

Ale już wiatr od wschodu niósł niepokojące zmiany, bo oto nieustraszony żeglarz francuski docierał zuchwale do brzegów Nowej Ziemi. Istotnie, harde musiał mieć serce marynarz, który na wątłym żaglowcu z połamanemi przez huragan masztami zdołał w owych czasach przepłynąć ocean, zwyciężając ziejące zagładą nurty.

Z podróży mojej przez Atlantyk na wygodnym zresztą angielskim parowcu, wyniosłam niezatarte wrażenie zamętu wywołanego burzą morską, piekielnej gry fal, wiatru i piany. Na bezbrzeżnej jak okiem sięgnąć przestrzeni wyrastają góry wodne niezwykłych rozmiarów, spadając od czasu do czasu na pokład z trzaskiem piorunu. Potężne bałwany

rzucają się na siebie z furją niczem dzikie, zrażce się nawzajem bestje; giną w tumanie rozprysniętych kropel, a w szamotaniu tem wre niewypowiedziana zjadłość. A kiedy noc czarne skrzydła roztoczy nad otchłania, zda się, że wśród chaotycznej symfonji ryku, szumu, gwizdów, walczą o korab zbłąkany na morzu czyhające w głębinach gigantyczne potwory.

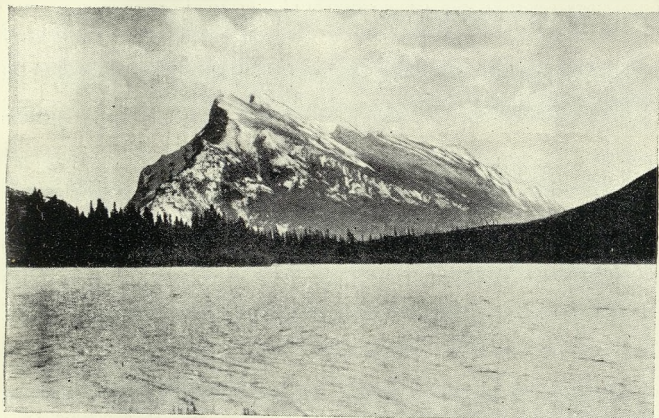
Żaglowiec, na którym w 1534 r. przybył z Francji do Kanady królewski wysłannik Jacques Cartier, nie był chyba większy od statków z drzewem, snujących się dziś nieustannie wdół i wgórę ogromnej rzeki. Mimo to dzielny kapitan przedsięwziął aż trzy podróże i był jednym z pierwszych Europejczyków, którzy wylądowali w miejscach, gdzie obecnie wznoszą się dwa potężne miasta portowe: Quebec i Montreal.

Dzieje tych ważnych ośrodków kanadyjskiego życia zawierają wiele bohaterskich epizodów z okresu walk francuskich osiedleńców z krajowcami, później o niepodległość przybranej ojczyzny przeciw wielkobrytyjskiej potędze. Z kart historii wyłania się zastęp rycerskich postaci, gorących patriotów, cichych ale wytrwałych budowniczych młodego państwa. Poświęcając im część mojej pracy, pragnę nietylko odzwierciedlić dziejowe i narodowe tradycje Kanadyjczyków gallickiego pochodzenia, ale także podkre-

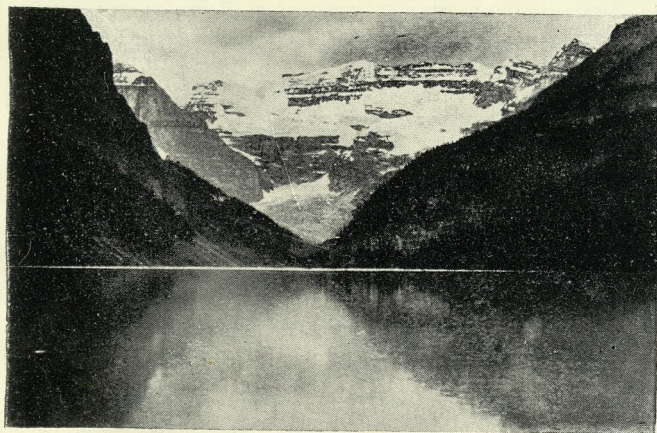
ślić hart walecznych i ich ofiarność w imię wzniosłego sentymentu dla ziemi, religji i mowy.

Naogół pierwsze wyprawy do Ameryki Północnej przyniosły Francuzom rozczarowanie. Zawiodły spodziewane skarby, a więźniowie przeznaczeni do zakładania osiedli nie stanęli na wysokości zadania. Ostatecznie z wysiłków Cartier'a pozostały jego cenne opisy i przysłowie: fałszywe jak kanadyjski djament. Królowie francuscy czynili wprawdzie dalsze starania dla zaludnienia nowoodkrytych obszarów, lecz osadnicy, gromadzeni wciąż wśród galerników, dawali Indjanom lichy przykład kultury chrześcijańskiej i źle trzymali się na placówce. Zato bogactwo ryb, zwierzyny zwabiało śmiałków, stawiających chętnie życie na kartę dla wrażeń i zysków. I w gruncie rzeczy zanim Anglicy przekroczyli pasmo gór Alleghanys, Francuzi żeglowali już po rzece św. Wawrzyńca i falach Wielkich Jezior, błędzili doliną Missisipi, docierając na dalekim Zachodzie do śnieżnych szczytów Gór Skalistych.

Jedną z najwcześniejszych kolonij, która ostała się kosztem wielu poświęceń, była Akadja. Gniazdo rybaków bretońskich, założone na terenie teraźniejszej Nowej Szkocji, stanowiło ongi wedetę Nowej Francji, osłabiając niejednokrotnie impet armij angielskich. Niekiedy zalegała w niem cisza, zdawało-



Mount Rundle i jezioro Vermilion w Górach Skalistych



Jezioro Luiza i lodowiec Wiktorja

MUZEU
K. Karłowicza Polackiego
Wojew. Łódzki

by się śmiertelna, lecz jak ryby wędrownie tych dzikich wybrzeży Akadyjczycy powracali do spustoszonych sadyb, odbudowywali je nad zatokami, przy ujściach, w dolinach, opierając się ze wszystkich sił próbom przemocy i ucisku.

Nowa Francja zaś była córą Normandji. Stamtąd szły zastępy rolników, żołnierzy, zakonnych i świeckich kobiet, wygnańców, misjonarzy. Wśród niezmiernych lasów, w najtrudniejszych warunkach ludzie ci pędzili żywot surowy i żmudny. Może miłszym wydawał się on banicie nad strach przed karzącym prawem, lub nędzę wilgotnej celi, lecz wielu wiedzionych tylko-li chęcią przysłużenia się ojczyźnie i kościołowi dążyło ku obcym brzegom dobrowolnie, nie wynosząc z życia pełnego wyrzeczeń żadnych dla siebie korzyści. Takim był Samuel de Champlain, założyciel Quebec'u, organizator, wódz i apostoł w jednej osobie, który w 1608 r. przybył z garścią załogi w okolice, zwiedzane niegdyś przez Cartier'a i tam zbudował pierwsze zagrody, dając początek stolicy, a przez długie lata twierdzy narodowego ducha kanadyjskich Francuzów. Po nim de Maisonneuve zasłynął jako krzewiciel katolicyzmu i obrońca napastowanej przez czerwonoskórych, miżernej wówczas osady Montreal, dzisiaj największego miasta w Kanadzie. Tak więc zaranie powstającej na

dalekim łądzie społeczności przenikała idea chwały Boga i Francji, otaczając nimbem podwójnej zasługi owych rycerzy-ascetów, pokorne a niestrudzone mniszki, osiedleńców, zabijanych nad lemieszem, księży, ginących u pała męczarni.

Kiedy część wychodźstwa, pracując na roli i odkrywając piędź po piędzi łany urodzajnej gleby, kładła podwaliny przyszłemu państwu, inni przebiegali wzdłuż i wszerz rozległy kontynent w poszukiwaniu nowych dróg wodnych, złota i sławy. Zapuszczali się w głąb kraju łodzią lub pieszo, z wiosłem, siekierą w mocnej dłoni, hardzi, nieustraszeni, zżyci z niebezpieczeństwem i naturą. Puszcza była im domem, przygoda wierną towarzyszką, posiłkiem kęs jeleniny i woda z jeziora. Lecz wędrując na los szczęścia, samotni, trapieni przez moskity, szkorbut, niepogody przepadali często bez wieści na nieznanym szlakach. Z tłumu bezimiennych przechowały się nazwiska Jolliet'a i księdza Marquette, którzy około 1673 r. pokusili się o rozpoznanie „Wielkich Wód“, płynących, wedle opowiadania Indjan, na południe, przez niezmiernie upalne regjony, pełne potworów i indjańskich hord zbójeckich. Wbrew postrachom zdołali oni dostać się szczęśliwie biegiem Mississipi aż do Arkansas, a potem rzeką Illinois do obecnego Chicago. Z wyprawy Jolliet po-

wrócił bez towarzysza, niemniej olśniony krainą jak z bajki, nieznaną, bogatą i piękną. Dokończył dzieła de la Salle, docierając w kilka lat później do zatoki meksykańskiej. Imieniem króla Ludwika XIV objął on wówczas w posiadanie ogromną dolinę Mississipi, nadając jej nazwę Louisiany. yp

A na północnych rubieżach Kanady w tym samym mniej więcej czasie, garść ochotników francuskich oblęgała rozrzucone tu i ówdzie angielskie forty, zmagając się w uciążliwych pochodach przez śniegi i lody z trudnościami przeróżnej natury. Pod mroźnym niebem, bez dachu nad głową, zmuszeni rozbijać siekierą skąpe racje chleba, źle żywieni i uzbrojeni dokonywali jednak brawurowych czynów tak na lądzie jak na wodach zatoki James'a i Hudsonskiej.

Tymczasem jednak życie w macierzystej kolonii stawało się coraz uciążliwsze. Wogóle zaś pierwsze stulecie jej istnienia było pasmem udręczeń głównie skutkiem przewrotnej polityki Anglików z Manhatte (New York), dostarczających krajowcom broni i żywności wzamian za krwawą przysługę wytępienia niewygodnych sąsiadów. Indianie ze szczepu Irokezów przekradali się więc lasami aż do bram Quebec'u i Montrealu, siejąc strach, śmierć i zniszczenie nietylko między białymi, lecz także wśród

sprzymierzonych z Francuzami czerwonych swoich braci: Huronów. Jak sępy spadali oni z nagła na zacisza misyjne, odosobnione domostwa i małe, puszczańskie wioszczyzny, rozjuszeni niczem głodne wilki, okrutni i nieubłagani. Gdy odchodzili, unosząc świeże skalpy, na pogorzeliiskach zawodziły wystraszone psy, roje much obsiadało szczątki ludzkie, rozrzucone wśród pni i wykrotów. Dalekie, samotne cmentarzyska, znane jedynie niebu i szumiącym jodłom, okrywał potem śnieg grubym całunem, a latem do słońca bieleły się kości nieszczęśliwych. Może i zbłądził kiedy w tamte strony wędrowiec, myśliwy, albo misjonarz i znakiem krzyża przeżegnał smętne uroczysko, lecz ilu nie doczekało się wcale modlitwy ani pochowku i pozostało w głębokiej puszczy na zarosłych z czasem krzami zgłiszczach swojej chaty, w mchach, dzikich zaroślach, na pościeli ze zgniłego listowia, póki ciało nie stoczyło robactwo, a wicher nie rozegnał resztek śmiertelnej powłoki.

W dniu, w którym przy dźwiękach rogów, wśród huk armatek lądował w Quebec'u królewski namiestnik Ludwik hr. Frontenac, Nowa Francja stała w przededniu ruiny. Bliższe i dalsze osady, chociaż obwarowane palisadami i rozpaczliwie bronione, Irokezi równali z ziemią, pastwiąc się nad mieszkań-

cami. Chytrzy, zwinni, nieustępliwi wykorzystywali każdą sposobność, porę, nierówność terenu, tak że wreszcie zewsząd, z za drzew, pagórków, kamieni groziła osadnikowi zatruta strzała autochtona.

Frontenac postanowił stłumić złe w zarodku, więc zkolei jak burza runęli Kanadyjczycy ku odległym granicom Nowej Anglii. A wieść ich musiał potężny duch zemsty, skoro zdołali przebyć na rakietach* ogromną przestrzeń w okresie najsilniejszych mrozów, żywiąc się prawie wyłącznie mięsem upolowanych po drodze zwierząt. Po wielotygodniowym marszu przez śniegi i lody dobrnęli jednak do celu. Poszło z dymem kilka bogatych, nieprzyjacielskich posiadłości, ludność została w pień wycięta. W odpowiedzi na niespodziewaną klęskę w październiku 1690 r. trzydzieści pięć angielskich statków wojennych zarzuciło kotwicę w pobliżu Quebec'u.

Rozgłośnem echem poniosły się w głąb ogromnego ładu odgłosy wrzawy bitewnej. Grały baterje, ich ponura gędzba płynęła ponad spowitem w dymy, cichem dotąd korytem wielkiej rzeki, hen ku szczy-

* Rakiety ułatwiają marsze po głębokim śniegu, w którym inaczej człowiek zapadałby się po uszy. Z kształtu podobne do raket tenisowych; w owalnych ramach naciągnięta jest siatka z małą poprzeczką dla oparcia palców nóg. Przywiązuje się je tasiemką do obuwia i w ten sposób jedynie można w miesiącach zimowych odbywać piesze podróże.

tom górskim, puszczy i stepom szerokim. W boru płochliwy zwierz umykał w dalekie zakątki, czerwonoskóry leżąc u ogniska ciekawie choć z trwogą nadśluchiwał przeciągłych, głuchych odgłosów. Kiedy ustały wreszcie, nad zbombardowaną twierdzą powiewały radośnie francuskie sztandary, wrogie okręty zaś z trudem torowały sobie drogę ku ojczyźnie wśród mgieł i burz oceanu.

Zatargi i wojny w Europie pomiędzy Francją a Anglią odbijały się na losach północno-amerykańskich kolonij bardzo dotkliwie. Pokój ryswicki nie na długo zapewnił ich mieszkańcom potrzebny odpoczynek. Zaledwie kilka lat upłynęło, a znów pochwycono za oręż i jeszcze obficiej polała się krew zawziętych rywalów. Naogół szczęście sprzyjało Francuzom, cóż kiedy z powodu zbyt szczupłej liczby nie mogli oni nigdy utrzymać się w posiadaniu zdobytych włości. Fiaskiem Anglików zakończyła się także ponowna wyprawa na Quebec, statki ich bowiem zostały zdruzgotane u brzegów św. Wawrzyńca podczas szalejącego huraganu.

Mimo to nieubłaganie zbliżała się ku Kanadyjczykom dziejowa godzina, w której mieli oni wyrzec się najdroższych snów o niepodległości, długo bronionej i miłowanej gorąco. Wojna siedmioletnia niosła im ostateczny cios, a chociaż opierali się mu do ostatka,

przeznaczenie spełniło twardo swoje zadanie. Pierwsza padła ofiarą Akadja, której ludność podstępem rozbrojono, wysiedlając ją następnie gremjalnie z kraju. Dwie bitwy stoczone w tym okresie kolejno dały Francuzom zwycięstwo i klęskę. Pobity na głowę nad rzeką Monongahela, angielski generał Braddock pozostawił na pobojuwisku lwią część swoich żołnierzy. Przybywając z europejskich frontów nie znał on taktyki walk leśnych na sposób indjański, jaką jedynie można było praktykować w Ameryce. Zwarte bataljony w szkarłatnych mundurach, z błyszczącymi bagnietami, zaplątane w dzikie, zdradzieckie ostępy, padły zdziesiątkowane przez umiejętnie rozrzucone szyki przeciwników. Ten sam zresztą znamieny błąd zdarzył się kilka miesięcy później wojskom francuskim z dowódcą baronem Dieskau w pobliżu fortu Frédéric.

W ostatnim akcie historycznego dramatu, rozegranego na pięknej, kanadyjskiej ziemi, dwie wybitne postacie wysuwają się na czoło wypadków. Z jednej strony dzielny de Montcalm, z drugiej angielski oficer Wolfe, obaj rycerzcy, zdolni wodzowie, nieugięci zapaśnicy, polegli na placu boju za ów kraj daleki, o który im tak bardzo chodziło.

Szereg triumfów, odniesionych przez Kanadyjczyków w momencie, kiedy skrajny niedostatek zbliża

spoglądał im w oczy, opromienił imię Montcalma aureolą bohaterstwa. Gdy jednak Francja odmówiła pomocy, a nędza przybrała zastraszające rozmiary, żadne wysiłki nie zdołały już uratować położenia. 60-ciotysięczna armja angielska, liczebnie więc dorównująca ludności całej Kanady, sunęła na podbój Nowej Francji. Wówczas to na „Równinach Abrahama“ około Quebec’u rozstrzygnęły się jej losy na korzyść Wielkiej Brytanji. Generał Wolfe, dowodzący tą grupą, zginął na polu chwały, Montcalm podążył za nim w krainę cieniów.

Quebec został zdobyty w październiku 1759 r. Dumna twierdza, zdająca się tylekroć urągać atakom najbitniejszych pułków, przedstawiała po skończonem oblężeniu obraz zupełnej ruiny. Na sztandarach nie kwitły już lilje burbońskie, Anglicy zaś napełniali miasto niemilknięcemi okrzykami radości. Próba odebrania stolicy przez kawalera de Levis w pół roku później nie odniosła rezultatu, natomiast wślad za cofającymi się Francuzami szczęśliwi zdobywcy weszli do Montrealu.

Składającym broń, zasłużonym weteranom nie zgodzono się nawet oddać honorów wojskowych. Zrozpaczony de Levis (późniejszy diuk i marszałek Francji), usunąwszy się na odosobnioną wyspę, palił

chorągwie na znak żałoby, protestu i żalu nad upadkiem sprawy.

Rozpoczęła się cicha martyrologja, lecz równocześnie wytrwała, solidarna kampanja o prawa, religję, język, narodowość. A przecież w chwili, gdy Stany Zjednoczone podniosły się przeciw macierzy, Kanadyjczycy dwukrotnie złożyli heroiczny dowód lojalności, odrzucając kuszące propozycje czynione im pod hasłem: „liberty and independence“. W r. 1775 odparli Amerykanów z pod murów Quebec'u, w 1813 r. zadali im stanowczą klęskę około Chateauguay.

Długo czekano na rekompensatę. Istniał już wprawdzie w Kanadzie od r. 1792 rząd konstytucyjny, lecz mimo to bytem zagarniętej prowincji wstrząsały, prócz ciągłych utarczek w parlamencie, liczne fakty jaskrawej niesprawiedliwości w stosunku do narodu, który w 1837 r. doprowadzony do ostateczności zapragnął zbrojną ręką, dochodzić swoich przywilejów. Wybuchło powstanie, stłumione wnet represjami, ale duch nie osłabł pod ciężarem krzywdy i wytrwał, aby po latach niedoli powitać wschodzącą wreszcie jutrzenkę „Konfederacji“.

Ekspansja francuska w Ameryce Północnej wypełnia jedną z najbarwniejszych kart historii Nowego Świata. Wstrzymana na dłuższy przeciąg czasu

trudnościami politycznymi, nabrała po 1867 r. ponownego rozmachu i odtąd widzimy posuwających się znowu w głąb kontynentu licznych pionierów tego jędrnego szczepu. Rzut oka na rozmaite ugrupowania poza rdzenną ojcowizną przekonywuje nas do wrodnie o jego wielkiej żywotności i niezaprzeczo-
nym wpływie moralnym w morzu anglo-saskim. W Ontario i stepowych prowincjach jak Manitoba, Saskatchewan i Alberta, Francuzi kanadyjscy w liczbie około 500.000 tworzą obecnie duże zbiorowiska. Wszystkie gałęzie, nawet najbardziej oddalone, czerpią życiodajne soki z macierzystego pnia starej dzielnicy Quebec, która, dzierżąc niezachwianie straż nad dziedzictwem narodowym i religijnym, stanowi warowną przystań elementu francuskiego w Kanadzie.

A Akadyjczycy? Choć przeszłość ich była chmurną i tułaczą, nie dali się wyprzeć z zajętych placówek. Synowie wygnańców, wywłaszczonych i rozprószonych w 1755 r., wrócili po dniach poniewierki, by już w następnem stuleciu rozrósć się w tysiące. Dzisiaj gęsto osiedleni w trzech nadmorskich prowincjach: New Brunswick, Nova Scotia i Prince Edouard Island, reprezentują poważny odłam społeczeństwa, odrębną nieco, niemniej jednak francuską, zdrową i silną latorośl.

Oto w najogólniejszych zarysach historia kraju, który we wdzięcznem sercu uważam, obok własnego, za najpiękniejszy pod niebem. Jeżeli turyście patrzącemu z okien wagonu Kanada głębokie pozostawia wrażenie, jakżeby nie czuł dla niej sentymentu, kto spędził tam kilka ciekawych lat, zapoznał się z dziejami, ludźmi, obyczajem, a nadewszystko — z naturą! Toteż rozpatrując w myślach przebyte drogi i bezdroża, nie umiem oprzeć się chęci poprowadzenia innych, bodaj przy pomocy pióra, tym samym dalekim śladem.

II.

QUEBEC I MONTREAL

Półtora wieku z górą ubiegło, od kiedy wojska Wielkiej Brytanji, wkraczając triumfalnie do Montrealu, zajęły niezmierny obszar kanadyjskiej ziemi. Jak już wspomnieliśmy w poprzednim rozdziale, obywatele francuscy stawili energiczny opór próbom asymilacji, jakkolwiek władze angielskie wszelkich dokładały starań, ażeby dzielny lud wynarodowić i skłonić do zmiany wyznania. Niebezpieczny przykład i sąsiedztwo Stanów Zjednoczonych, zatem obawa utracenia tak cennych kolonij, wpłynęła ogromnie na złagodzenie despotycznej polityki, lecz dopiero rok 1867 rozjaśnił naprawdę dolę podbitych. Cztery stany: Quebec, Ontario, Nowy Brunszwik i Nowa Szkocja, połączone w związek autonomiczny, datują odtąd stały, szybki rozwój. Z czasem, w miarę kolonizowania dalszych przestrzeni, weszły w skład ten jeszcze: Manitoba (1870), Kolumbia Angielska (1871), Wyspa ks. Edwarda (1875), Saskatchewan i Alberta (1905).

Prowincja Quebec najrozleglejsza z grupy skonfederowanych, pozostała francuską i katolicką. Jej

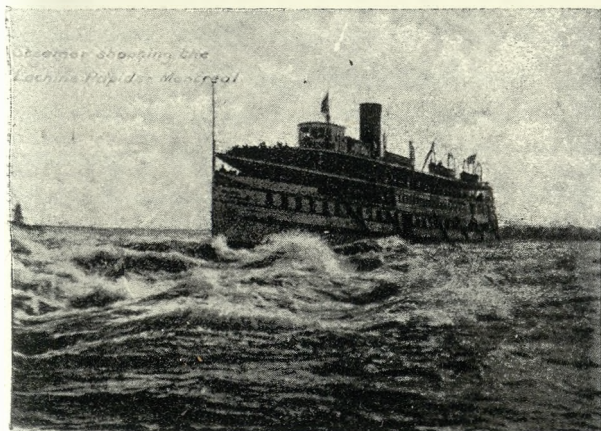
rozwój zaciekawia cudzoziemca z za morza, egzaltuje go piękność natury, rozmiary czynią imponujące wrażenie.

Ciągnie się, rzekłbyś, w nieskończoność kapryśnie splełany łańcuch gór św. Wawrzyńca, towarzysząc zdaleka najszerszej chyba rzece świata aż do oceanu. Tysiące jezior kryje się wśród lasów, gdzie gruby zwierz rywalizuje w chytrości z myśliwym. Raj prawdziwy, w którym mieszka tajemnica, samotność, przygoda, wolność i ułuda przeistaczania się, na wzór pierwszych białych w tej krainie, w nieznanego zucha, leśnego włóczęgę z torbą na plecach, w obdarciem odzienia, pijącego u źródła, gotującego strawę nad ogniskiem, bez troski o jutro, bez prawa i zwierchnika.

Terytorjalnie trzy razy jak Polska, Quebec liczy zaledwie 2,500.000 mieszkańców, których większość przypada oczywiście na miasta i miasteczka. Zaludnienie więc w stosunku do przestrzeni jest jeszcze bardzo mizerne, jednakże wystarczy rozglądnać się nieco po kraju, ażeby stwierdzić, że szanse zwiększenia się tej cyfry są wyjątkowo pomyślne. Francuzi kanadyjscy nie obawiają się licznego potomstwa i wychowują rekordową ilość dzieci. W ten sposób odbierają stopniowo swoje dziedzictwo, tem bardziej, że proliferacja ich współziomków przedstawia się



Hotel Windsor w Montrealu



Parowiec na rzece św. Wawrzyńca

bez porównania gorzej. W ciągu mojej bytności spotkałam mnóstwo rodzin złożonych z czternastu, ośmnastu i więcej osób, wśród których matka bynajmniej nie czuła się ofiarą, lecz ruchliwa i czynna świeciła przykładem swojemu otoczeniu. Nigdzie też chyba lepiej niż w Kanadzie nie da się zastosować przysłowia, że „kobieta to trzy węgły domu“. Są to szczęśliwe rezultaty religijności Kanadyjczyków, którą z kolei żarliwie podtrzymuje bardzo wpływowy, inteligentny i patriotyczny kler katolicki. W walce przeciw zangliczeniu duchowieństwo odegrało pierwszorzędną rolę. Zarzucono mu wprawdzie, że bezpośrednio po klęsce wychowało pokolenie analfabetów, wzbraniając rodzicom posyłanie dzieci do angielskiej szkoły, faktem jest jednak, że swoją zdecydowaną postawą księży w krytycznych momentach najskuteczniej ratowali zagrożoną narodowość.

Zdrowie moralne, idąc w parze z fizycznym, stworzyło, zwłaszcza poza większymi ośrodkami, typ prawdziwie dorodny. Mężczyźni silni, rośli, niewiasty przystojne a hoże. Wydelikaccona wrażliwość Europejczyka trudno wybacza im pewną gruboskórność, wyczuwalną mimo wszelkie zalety i cały rozmach cywilizacyjny. To jedna z zaległości jeszcze nieodrobionych w śpiesznym pochodzie naprzód Kanadyjczyków lub może nieodłączna cecha ogólno-

amerykańskiego charakteru. Za to przejmuje respektem ład wewnętrznej organizacji, tętno pracy, religijne wychowanie i błoga nieobecność, przynajmniej pozornie, politycznych antagonizmów.

Ludność osiedliła się przeważnie w ogromnej dolinie rzeki św. Wawrzyńca. Nabożna, pracowita, uczciwa jest ona także bardzo konserwatywna. Posługując się językiem XVII stulecia, pełnym archaizmów, zlekka tylko przeplatany naleciałościami angielskimi, czcząc dawny obyczaj, szczerzy rojaliści miłują królewskie tradycje narodu:

„Amour sacré du trône et de l'autel
Remplis nos coeurs de ton souffle immortel!“

śpiewa Kanadyczyk, zasiadając przy ogniu wieczorem zimowym, aby odpocząć i wypalić ulubioną fajkę. Jego ciemna twarz, spalona wichrami i słońcem, przybiera wyraz skupienia, ilekroć podejmuje swój piękny hymn:

„Parmi les races étrangères
Notre guide est la loi.
Sachons être un peuple de frères
Sous le joug de la foi.
Et répétons comme nos pères
Le cri vainqueur pour le Christ et le roi.“

Spółeczna równość stworzyła na przestrzeni tysięcy mil jeden typ mieszkańca. Wszędzie ten sam

mniej więcej dostatek, obyczaj, poziom umysłowy, wszędzie kościelna wieżyczka, górująca nad siedzibami i parafją, zdrowa komórka socjalna, siła, natchnienie 60.000 obywateli, odstąpionych niegdyś Anglii — i ich potomków.

Kolebką im miasto Quebec, założone z początkiem XVII w. przez Samuela de Champlaina, znakomitego odkrywcę, jednego z najwybitniejszych mężów w historii Nowej Francji. Zwiedzając stolicę drogą sercu kanadyjskiego Francuza, zapomnieć można, że wznosi się ona na amerykańskim lądzie. Stare załki, dostojne budowle opowiadają legendy, tchną urokiem i powagą sędziwych lat. Wąskie uliczki, dachy z dymnikami, zczerniałe, kamienne fortyfikacje, niejednostajność w całości znacząca rozmaite epoki, wszystko skłania do dumań nad przeszłością grodu Champlaina.

Panorama miasta i jego okolic raduje wzrok. W pogodny, letni poranek lśniące od blasków fale rzeki św. Wawrzyńca głaszczą łagodnie spadziste brzegi. Przygląda się w wodzie fronton cytadeli. Na grubych murach krwią wypisane są daty, nazwiska wodzów z dni chwały, klęski czy zwycięstwa.

Jakkolwiek obcy, dajemy się ogarnąć wzruszeniu, składając milczący hołd dalekim rycerzom. Wyobraźnia wskrzesza ich cienie i zdaje nam się, że z okna

na szczycie warowni groźna twarz królewskiego namiestnika Ludwika de Buade hr. de Frontenac uśmiecha się ironicznie w stronę odpływającej z nich flotyli angielskiej, to znów, że szumią na wietrze chorągwie, szeregi duchów idą do ataku. Na czele Francuzów markiz de Montcalm w przystępie rozpaczki pędzi w otchłań grobu. Angielska kula przeszywa mu pierś, a cytadela przejmuje ostatnie spojrzenie umierającego dowódcy.

Quebec prezentuje się więc najpierw w aureoli historycznych wspomnień, jednak świst lokomotywy, przeraźliwa syrena okrętowa przypomina, że jest on także ważnem centrum handlowo-przemysłowem. Port to dostępny największym parowcom przez siedm miesięcy w roku. W okresie zimowym, gdy rzeka zamarźnie, statki zawijają do St. John w Nowym Brunszwiku lub do Halifaxu w Nowej Szkocji, portów leżących nad oceanem.

O rozwoju miasta w duchu nowoczesnym świadczą wymownie liczne fabryki, ruchliwe ulice, nowe przedmieścia i gmachy, między innymi urządzony z przepychem czternastopiętrowy hotel „Château Frontenac“. Siedziba rządu prowincji szczyci się uniwersytetem, uchodzącym za jedną z najczcigodniejszych, wyższych uczelni w Kanadzie. Obejmuje ona także bibliotekę, muzeum, galerję obrazów,

gdzie spotkać się można (patrzcie, patrzcie!) z dziełami takich mistrzów jak Salvator Rosa, Puget, Van Dyck, Vernet, David. Przylega doń stare seminarjum klasyczne, ufundowane w r. 1663 przez pierwszego biskupa Kanady Mgr. Montmorency-Laval. Rozsiane dosyć gęsto zakłady naukowo-wychowawcze, szkoły normalne, klasztory, kolegia, sale odczytów, zebrań, kółek literackich i artystycznych mówią o chwalebny wysiłku w dziedzinie intelektu.

W przeciwieństwie do innych miast amerykańskich Quebec nie stanowi owego rendez-vous wszystkich ras i języków. 90% ludności jest francuskiego pochodzenia. Dumna z przekazanych tradycji strzeże ona wiernie skarbcza narodowych pamiątek i gorąco czci pamięć swoich dobroczyńców, męczenników i bohaterów.

W odmiennej całkiem szacie prezentuje się nam Montreal. Bogate miasto, liczące około miliona mieszkańców, nosi charakter bardziej kupiecki, amerykański. Place, bulwary, ulice natłoczone samochodami, wrą ruchem i gorączką wielkich „bussines’ów“. Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi, Chińczycy, Murzyni, wszystkie nacje białe i kolorowe składają się na wartki potok ludzki, przepływający codziennie chodnikami drugiej stolicy.

I pomyśleć, że to mrowisko, las kominów wyrzu-

cających kłęby dymu, kipiący życiem interesu gród powstawał w atmosferze prawie mistycznej. Zbudowany na wyspie, utworzonej przez rzekę św. Wawrzyńca i św. Karola, u stóp góry Mont Royal, od której przejął miano, zwał się on niegdyś na większą cześć i chwałę Niebieskiej Protektorki „Villemarie“. Ufundowany w celach misyjnych dla przykładu i ewangelizacji pogan był długo miejscem ofiarnej pracy ku pożytkowi katolicyzmu. Podczas gdy pierwszy szpital, szkoła, klasztor, zakładane staraniem pionierek: pani de la Peltrie, Janiny Mance i Małgorzaty Bourgeois, rozszerzały dobroczynną działalność, niestrudzony w służbie idei, prawdziwy rycearz krzyżowy de Maisonneuve czuwał u wrót siedziby.

I oto z biegiem czasu cicha, maleńka osada przeobraziła się w potężne miasto portowe, wielki śpi-chlerz Kanady i centrum handlowo-przemysłowe. Tylko moc kościołów mówi o jego dawnym powołaniu, a dźwięki dzwonów, rozbrzmiewające ciągle w rozmaitych stronach mile pieścżą ucho.

Cztery miesiące pobytu w Montrealu dały mi możliwość zapoznania się trochę z jego osobliwościami, które co prawda nie wywołują takich wzruszeń jak historyczny Quebec. Góra jest dobrze utrzymanym, dużym, romantycznym parkiem, gdzie znaleźć można



Montreal. Kościół Notre Dame



Montreal. Ulica St. Catherine długości kilku mil angielskich

bezpieczne schronienie przed uliczną wrzawą. U jej podnóża rozsiadły się najpiękniejsze wille, ogrody, pałace, lecz mojem zdaniem najbardziej uroczy to spacer nad rzeką z przedmieścia Verdun aż do huczących progów Lachine. Przed nami — szeroka, błękitna tafla, zdaleka dochodzi szum fal śpieszących po pochyłości. Posuwając się wytrwale wygodnym, asfaltowym traktem, można je ujrzeć jak na dłoni i posłuchać dowoli gędźby rwącego nurtu. Przy tej okazji w drodze do Verdun obserwujemy z okien autobusu ruchomy most na kanale, który obraca się równolegle do brzegów, ażeby przepuszczać nadciągające co chwila okręty.

W śródmieściu dążąc główną, niezmiernie długą ulicą St. Catherine mijamy szereg magazynów, banków, świątyń, instytucyj, między innymi trzy znane firmy handlowe Eaton, Morgan i Dupuis. Są to obszerne gmachy, przepełnione wszelkiego rodzaju towarami, poczynając od najdrobniejszych aż do samochodów i łodzi. Kilkanaście wind przewozi bezustanku tłumy publiczności z piętra na piętro, gdzie stoły i posadzki uginają się pod stosami przedmiotów jak meble, ubrania, zabawki, wyroby tekstylne, skórzane, jubilerskie, instrumenty muzyczne, szkło, porcelana, artykuły spożywcze, lekarstwa, książki,

obrazy, jednym słowem ma się przed oczyma najobfitszy kram, jaki trudno sobie wyobrazić.

Pozatem jednak miasto nie wabi rozmaitością. Z pomiędzy pięciuset domów modlitwy, w tem trzy czwarte katolickich, katedra Notre Dame wyróżnia się bogactwem ołtarzy, a inne wspaniałemi doprawdy organami. Z racji niezwyklej wprost liczby dzwonów kościelnych słusznie nazwano Montreal „la ville aux carillons“.

Reasumując dotychczasowe nasze spostrzeżenia, mimowoli zadajemy sobie pytanie, z jakim uczuciem zapoznaje się zbliska inteligentny Francuz z historją, rozwojem i przyszłemi możliwościami chociażby tylko tych dwóch francuskich miast na terenie brytyjskiego Dominium. Czy nie budzi się w nim niewczesne zdumienie, że ongi na gorący i przez 140 lat powtarzany apel do starej Francji, rząd francuski wcale nie odpowiadał. A Voltaire, pisząc pamiętne słowa: „wolę daleko bardziej pokój niż Kanadę, sądzę, że pokój może szczęśliwie nastąpić bez Quebec'u“, mało okazał się przewidującym. „Kilka morgów śniegu“ równało się drugiemu królestwu.

III.

W PUSZCZY

W krainie wielkich jezior, przepastnych borów, gdzie zorza północna świeci nad pustoszą, a Boże piękno ziemi króluje dotąd w pełni..., gdzie nocami błędzą gwałtowne wichry, gruby zwierz brnie w głębokich śniegach, a latem szemrzą drzewa i fale niewysłowioną pieśń..., tamtędy przechadza się często śmierć niestrudzona wędrowna.

Milami biegnie ona po zamarzniętych wodach śladem sań, ciągnionych przez zziajane psy, trop w trop za człowiekiem, który je prowadzi. Latem łodzią jego kołysze i przechyla ku zdradliwej toni, to znów nad szumiącym progiem na kamieniu siada i patrzy beczynn timer, jak niesiona prądem mknie wątła piroga, niebojaźliwą kierowana dłonią lekko skacze przez wodospad.

Czyżby odwaga zdołała zadziwić śmierć? A może to tylko jeden z jej dziwnych kapryków?

* * *

W północno-zachodniej części prowincji Quebec leży okręg zwany Abitibi, którego dzikie zakątki zamieszkiwał dawniej indyjski szczep Algonkinów.

Jest to kraj zarosły borami, zasługujący w całej pełni na miano myśliwskiego raj. Ruch kolonizacyjny, zapoczątkowany ledwo przed kilkunastu laty, rozwinął się tam pomyślnie dzięki energicznym zabiegom władz i działalności misjonarzy. Jak grzyby po deszczu wyrosły więc wzdłuż toru kolejowego osady, miasteczka, farmy, zakłady przemysłowe i górnicze. Ludzie zwabieni rozgłosem o żyzności gleby i wielkich bogactwach ziemnych niedostępnych do niedawna terenów, napłynęli stosunkowo licznie, jakkolwiek warunki życia bynajmniej nie są łatwe a nawet wręcz pierwotne. Surową zimę mężczyźni spędzają przeważnie w lesie, tnąc drzewo na kłocce i na papierówkę, które z wiosną spławiają do tartaków. Krótkie lecz upalne lato pozwala farmerom na uprawę owsa, jarzyn, koniczyny, natomiast zboża i owoce nie idą zupełnie, mrozy bowiem dochodzą normalnie do 80° Fahrenheita.

Na północ od linii kolejowej oraz skupionych przy niej większych lub mniejszych przystanków, ciągną się, hen, aż do zatoki James'a głębokie puszcze z gęstą siecią wód. Są to prawie bezludne obszary, azylum Indjan, kraina traperów i „prospektorów“, t. j. poszukiwaczy skarbów kopalnianych, złota, miedzi, w jakie okolice te zdają się obfitować.

Jeziro Shabogama, będące przedłużeniem rzeki Bell, ułatwia komunikację między kilkoma kantonomi wschodniej połaci Abitibi. W lecie pirogą lub barką motorową, w zimie sankami po lodzie dążą hialii i czerwonoskórzy do odległych wiosek po żywność i odzież.

Było nas kilkoro wychodźców zbłąkanych w te ustronia, gdzie założyliśmy kosztem niezliczonych trudów polską kolonję. Od początków jednak fortuna nie sprzyjała przedsięwzięciu, wydatki na osiedlenie pochłonęły szczupłą gotowiznę, więc tylko uporem przedłużaliśmy nasz pobyt w lesie z miesiąca na miesiąc, żywiąc się rybami, mięsem łosi, zajęcy-bielaków, w cierpliwem oczekiwaniu na posiłki z Polski w ludziach i pieniądzach. Bez konia, łodzi, psa, jedynych w tamtejszych stronach środków lokomocji, trzydzieści mil angielskich od najbliższego osiedla, przetrwaliśmy zimę i lato, marząc o zbudowaniu dalekiej Ojczyźnie placówki w tej pustoszy. Realnie myślał wśród nas tylko Ten, co karmi ptaki niebieskie i odziewa lilje wodne, zasiłając naszą spiżarnię różnemi sposobami, chroniąc od wypadku i choroby.

Oficjalnie byliśmy osadnikami, którymi departament kolonizacji interesował się nawet dosyć żywo, jako że podczas wstępnych pertraktacji, prowadzo-

Hzi

nych z kraju drogą korespondencji, zgłosiliśmy plan gospodarczy zakrojony na szeroką skalę. Szczerość tych zamiarów i lojalność wobec władz imigracyjnych nie ulegała kwestji, jednakowoż porywanie się z motyką na słońce bywa także czasami aktem dobrej wiary i ta właśnie okoliczność sprawiła, że przedsiębiorcze nasze grono znalazło się nagle w położeniu co najmniej kłopotliwym. Ciąć bór dziewiczy, karczować, oczyszczać i obsiewać działki niekniętej dotąd ziemi, nie należy do najłżejszych zajęć. Trzeba mieć oprócz stalowych mięśni, wprawę i dokładną znajomość sposobów wykonywania tak żmudnej pracy, zwłaszcza że długotrwałe zimna, a w lecie chmury bąków i komarów bynajmniej nie ułatwiają zadania. Toteż sprowadzeni przez nas z Polski robotnicy nie zagrzali tam miejsca, uciekając już po kilku tygodniach na złamanie karku, głównie przed inwazją moskitów.

Ogółem mało kto nadaje się do tak twardego życia, nawet kanadyjscy farmerzy, nawykli do zwalczania podobnych trudności, niechętnie zaszywają się w lasy zdala od gromady. Niejedną już bowiem samotną sadybę strawiły łatwe pożary, a lód czy woda i tak pochłaniają corocznie wielką ilość ofiar. Jedynie myśliwy z tubylcem w zawody odważnie stawia czoło niebezpieczeństwu, czyhającemu usta-



Rysi zakątek



W Abitibi

wicznie wśród śniegiem zasłanych przestrzeni na niedoświadczonego podróżnika.

Kiedy poraz pierwszy znalazłam się na „szlaku“, znanym mi dotychczas tylko z londonowskich opowieści, radość urzeczywistnionych marzeń przyspieszała bicie serca, a uczucie lekkości i swobody niosło jak na skrzydłach ku niewiadomemu. Jak okiem sięgnąć biała płaszczyzna, okolona ramą puszczy, a nad nią słoneczne przestworze i czyste, szafirowe, jedyne w swoim kolorycie, kanadyjskie niebo. W pustce i głuszy tych równin północnych istnieje jednak coś niewytłumaczonego, co idzie wszędzie za nami, dotyka nas prawie uparte, nieme, czujne, tajemnicze. I niewiedomo, lęk to czy ostrzeżenie, dość, że czuje się je często tuż za plecami, jakgdyby uczepione desek naszych sań, węglowia prymitywnego posłania, progu jodłowej chaty.

W podróży po zamrożonym jeziorze Shabogama, przeważnie z dużym ładunkiem, nie brakowało nam przygód i emocyj. Przebywaliśmy nieraz najzdradliwsze miejsca ot na los szczęścia, ufając, że nas oszczędzi. Z westchnieniem ulgi witaliśmy brzegi, tembardziej, że niejednokrotnie przeciągły, niby podziemny grzmot obwieszczał pęknięcie lodu, koń zapadał się po brzuch w t. zw. „slush'u“, wodnistej,

śniegowej kaszy, w której grzęzły na nieszczęście i nasze mokasyny.* Przemakały one natychmiast do cna, ażeby zaraz potem ściąć się jak drewno, toteż cudem chyba wynieśliśmy z tych wypraw zdrowe kończyny z wyjątkiem jednego towarzysza. Przy całodziennym trudzie kawałek zmarzłego chleba i słoniny starczył za posiłek. Mróz kleił rzęsy i zapierał oddech, okrywając szronem kołnierze i czapki, ale — sapristi! — maszerowaliśmy ochoczo, jak przystało na ludzi, których Północ respektuje. Niekiedy zmrok zastawał nas w drodze brnących przez pustkowie, gdzie każda szczelina w lodzie groziła złamaniem nogi, a wiatr smalił twarz jak różgami. Pamiętne, nieodżałowane czasy, gdy życie miało, niestety zbyt krótko, pierwotny sens i lot wolnego ptaka. Rok na odludziu minął bezpowrotnie, lecz myśl, jak urzeczona, ciągle tam powraca, budząc w sercu ogromną tęsknotę.

W prostym „campe’ie“*** z nieociosanych belek, którego szparami zatkanemi sianem wiało niezgo-rezej po izbach, dnie upływały szybko na rozlicznych, domowych czynnościach. Zimową porą ogień buzo-wał się bez przerwy w piecu z żelaznej beczki, zaopatrzonej w blaszaną rurę, wpuszczoną w dach za-

* Miękkie buty z łosiowej albo końskiej skóry.

** Chata osadnika.

miast komina. Rozpalony do czerwoności ogromnymi polanami, rozsiewał dobroczynne ciepło, przy którym tak dobrze było grzać skostniałe palce, nie marząc o niczem więcej. A o zachodzie szło się na rakietach w trop za drobną zwierzyną, stanowiącą długo główne nasze pożywienie. Mnóstwo zajęcy bowiem, przypominających króliki, ugania szarą godziną wzdłuż nadbrzeżnych skarp, a i biała, polarna kuropatwa trafia się czasami cierpliwemu strzelcowi. Więc zamienieni w wzrok i słuch, idziemy przez głuche manowce, ściskając w garści zimne lufy strzelby, przystając chwilami, ażeby posłuchać, co dzieje się w gąszczu leśnym, przygiętym okiścią. Na moment stłumiony huk wystrzału przerywa spokój uroczyska. Głębiej w puszczy może łoś spłoszony pomknął przez zaspy i zwały ośnieżonych pni, a zaczajony ryś pomylił się w skoku. Potem nastaje znowu martwa, „biała cisza“.*

Usiadźmy na złamanym świerku, rozciągniętym u stromej ściany wybrzeża. Wokoło pustka i niewzruszone milczenie, tylko czasami osypie się z niskim szelestem obciążona gałąź. Sam w obliczu potężnej przyrody, okrytej płaszczem śniegu i lodu, człowiek przeżywa najgłębsze nastroje, bo niemasz nic bardziej przejmującego nad ów północny kra-

* Jack London.

jobraz w bezruchu, w którym jednak drzemią nieokiełznane żywioły. Przebudzone zahuczą posępnie wichrami, skłębią się, zakotłują, aż nagle wszystko zmieni się w mgławicę, jezioro; puszcza, powietrze, niebiosy, zaś drzewa, łamane wpół, szumem i traskiem wzbogacą przeraźliwą kapełę.

To znów spokojnym wieczorem bez wiatru, kiedy mróz milczkiem kąsze uszy i policzki, nad nami rozbawione gwiazdy zdają się tańcować, a ogromny księżyc wytacza się nisko nad horyzontem. A jeżeli zorza polarna zaświeci, rozrzucając po firmamencie blade lub kolorowe wstęgi, słowa nie wypowiedzą piękności takiego obrazu, ani zachwytu ócz, olśnionych poświatą.

Zbudowana nad brzegiem obszerna nasza chata bywała często schroniskiem znużonych wędrowców. Niejednokrotnie dawało się słyszeć z oddali skomlenie poniewieranych bez litości psów. Czarny punkt na śnieżnej przestrzeni zbliżał się, rósł, aż wreszcie zarysowywał się wyraźnie zaprzęg, złożony z kilku lub kilkunastu chudych brytanów. Strudzone zwierzęta, skoro poczują dym, ludzką siedzibę, odpoczynek, suną szybko jeden przed drugim, ze schylonemi łbami, wlokąc za sobą nieznośny ciężar dobrze wyładowanych sań. Zatrzymane siadają lub kładą się natychmiast, patrząc trwożliwie w oczy swojemu

panu. Kawał zamarzniętego ścierwa, rzucony pomiędzy zgraję, znika bezzwłocznie w paszczękach, poczem czworonogi rozbiegają się, ażeby w wygrzebanej w śniegu jamce usnąć pod roziskrzonym gwiazdami niebem tego kraju, w którym tak ciężką muszą spełniać służbę.

Prawie zawsze, kiedy szalały zawieje, albo zimno ścisnęło straszliwe, stawał na progu gość jakiś zziębnięty, ośnieżony, głodny. Francuz, Anglik, Rosjanin, Niemiec czy Indjanin, sąsiad, myśliwiec ze świata, czerwony koczownik, wszyscy pod polskim dachem znajdowali wygodne miejsce przy ogniu i stole. Czerwonoskórzy, zazwyczaj milczący, obojętnie przysłuchiwali się gwarowi niezrozumiałej dla nich mowy. Zdarzyło się jednak, że ujęty gościnnem przyjęciem „dziki“ rozgadał się w łamanym, angielskim języku:

— Czy wiecie — mówił — że dawnemi laty nie znano tutaj białych, a tylko my byliśmy panami Kanady? Dziś Indjanie to psy.

Ostatnie słowa, wypowiedziane ze smutkiem i gorącością, wzruszyły nas ogromnie, lecz nim ktokolwiek zdobył się na odpowiedź, ciemna twarz i skośne oczy przybrały swój zwyczajny wyraz, nie zdradzając już więcej najłżejszego zaalterowania.

Mimowoli widok człowieka tej rasy w angielskiej

czapce z daszkiem i stroju amerykańskiego farmera przywoździ na myśl pytanie:

— Tyżeś to dumny wojownik, nieubłagany wrogu białych twarzy, którego mściwe serce za przemoc i napaść okrutny brać umiało odwet? Tyżeś to synu stepów i puszczy dotąd niezgłębianych, kędy nocami przy blaskach zorzy północnej krążą duchy walecznych z plemienia Huronów, Siuksów, Irokezów?... Zdarty pióropusz, strzaskany tomahawk, gdzież chwała narodu twego, niewolniku?

Jak wiadomo, krajowcy są już właściwie na wymarciu, lecz w Abitibi i innych, niezagospodarowanych dotąd regionach, skupiają się oni gęściej, prowadząc życie bezdomne, trudniąc się jak ongi polowaniem i rybołówstwem. Algonkini, Kriowie oraz szereg niedobitków rozmaitych plemion, brzydkie, szerokonose typy o kruczych włosach i wystających kościach policzkowych wałęsają się niezmordowanie, a latem z zadziwiającą wprawą suną w małych pirogach po grzbietach rozkołysanych fal. Jedynie w wiosennym sezonie pękania lodów, przypadającym zazwyczaj w maju, odpoczywają z konieczności dłużej pod płóciennymi namiotami. Słaba skorupa a później płynąca gwałtownie kra zrywa na przeciąg paru tygodni wszelką łączność ze światem każdego odosobnionego mieszkańca. Źle, jeżeli kto wówczas za-

choruje, zrani się albo potłucze śmiertelnie, o co zresztą nie trudno w tak surowych okolicznościach, żadnej bowiem pomocy, ratunku, pociechy znikąd oczekiwać nie może. Jest to okres bezgranicznego osamotnienia. O świtaniu duże, białe mewy o czarnych końcach skrzydeł, krzycząc żałośnie, zataczają kręgi nad topniejącymi jeziorami. W zatokach dzikie gęsi i kaczki nurkują po małych powierzchniach czystej wody, a kędyś w boru chór młodych drapieżców brzmi donośnymi głosami.

Zręcznie toruje sobie drogę wśród pływających jeszcze tu i ówdzie lodowych brył pierwsza łódź prospektora. Z północy wnet nadciągają inne, w których traperzy i Indianie wiozą toboły futer, przeznaczonych na sprzedaż w najbliższej faktorji. „Łowcy wilków“,* spotykając na szlaku „łowców złota“** i statki rybackie, zamieniają wzajemnie krótkie wykrzykniki poprzez łoskot toczących się gwałtownie wód.

Tymczasem dla osadnika otwiera się nowe pole pracy, a mianowicie palenie suszu, karczowanie pniaków, celem założenia na początek bodajże najmniejszego ogródka. Musi on wtedy zakasać rękawy i w pocie czoła formalnie drzeć rękoma i narzę-

* Curwood.

** Curwood.

dziami stwardniałą ziemię, rozbijać kilofem zamrożone grudy, wybierając cierpliwie nieskończoną ilość korzeni. Prawie bezpośrednio po zimie nadchodzi upalne, trzymiesięczne lato, a z niem plaga tamtejszych okolic: muchy i moskity. Poddane istnej torturze oblicza, ręce, nogi puchną, sinieją od niezliczonych ukąszeń, a dopiero w nocy pod gęstą siatką rozpiętą nad łóżkiem można znaleźć względny odpoczynek.

Nic dziwnego, że kilka warzywnych grządek, uprawianych starannie kosztem pokłutej niemiłosiernie skóry, staje się dla kolonisty przedmiotem szczerego zainteresowania i troskliwej opieki. Jakież więc było moje oburzenie, kiedy pewnego poranku zastałam gęste krzaki zielonego grochu objedzone i zniszczone doszczętnie! W następnych dniach pilne czaty na szkodnika zostały wkońcu uwieńczone powodzeniem, bo oto późnem popołudniem, siedząc na progu chaty, zauważyłam małe, brunatne zwierzątko, zdążające chyłkiem wprost ku powabnym listkom młodej sałaty. Pochwycenie i naładowanie broni było kwestją jednej minuty, poczem uciekającego galopem grubego świstaka dosięgła nieuchronnie ręka sprawiedliwości.

Pod gorącymi promieniami słońca lasy stroją się odświeżnie w głęboką zieleń, stając się równocześnie



Przed „campem“ osadnika



Sadyba w puszczy

jeszcze bardziej zwarte i niedostępne. Zalane brzegi uniemożliwiają wyjście z poza granic, położonego zwykle nieco wyżej, gospodarskiego obejścia i domu. Trzeba więc czekać, aż wody opadną i odsłonią kamieniste, miejscami piaskowe wybrzeża, ażeby móc zapuszczać się pieszo w dalsze okolice, które, w zmienionej szacie, odmienne wywołują wrażenia. Niekiedy na zmarszczonej tafli zamajaczy zdaleka niby gałąź płynąca, zdobny potężnymi rosochami ogromny łeb łosia, przepływającego się wpoprzek jeziora, to znów czarny niedźwiedź mignie błyskawicznie w zaroślach, pozostawiając nas oszołomionych w kontemplacji nad wyciśniętymi w piasku śladami jego pazurów. Las gonny o splątaniem podszyciu, pełen wyrw i dołów, tchnie dusznym oddechem, a w gęstwinie kłody spiętrzone bezładnie, olbrzymie wykroty przybierają często najdziwaczniejsze kształty. Starodrzewu prawie niema, gdyż korzenie, nie mogąc przebić twardego podłoża, rozchodzą się płytko, tak że przy silniejszej burzy jodły, świerki, brzozy, nie dość solidnie wrosnięte, padają gęsto, tworząc fantastyczne grupy.

Puszcza...

W mroku żyje tam zwierz i ptak, a tylko na krótko zjawiają się czasami słoneczni posłańcy. Jedyne strzeliste wierzchołki kąpią się w powodzi blasków,

a potem opowiadają młodszej braci, drzewom kale-
kom zwolna obumierającym, o chmurach, tęczy, za-
chodach, jutrzence, zaś o zmierzchu szepcą senne
pacierze nad trupami tych, co legły strzaskane pio-
runem lub, wichrem z korzeniami wydarte, zbu-
twiały na wilgotnej ziemi.

IV.

LUDZIE PÓLNOCY

Minęły czasy, kiedy Nowy Świat przedstawiał się wyobraźniom niby kraj zaczarowany, pełen strachów, dziwów i zaklętych skarbów, przystępny tylko awanturnikom i śmiałkom, nie mającym nic do stracenia. Odległość, rozmiary ziemi, zamieszkaney przez dzikusów o miedzianej barwie skóry, budziły wiadomo, niezmierne wrażenie, lecz dzisiaj już potomkowie pierwszych osiedleńców, odkrywców, poszukiwaczy złota urosli w narody, czerwonoskóry zaniechał skalpowania „bładych twarzy“, a na pokładzie wielkich parowców dzieci samotrzeć przemierzają ocean, więc mglisty dawny kontynent przybliżył się niejako, tracąc wiele na grozie i tajemniczości. A jednak głuche dotąd bory Ameryki Północnej, jej wody ogromne, bezludne, zaśnieżone pola przeciwstawiają jak dawniej dzielności człowieka potęgę nieujarzmionej natury. Gdzie jedynym środkiem komunikacyjnym czółno lub tobogan,* ciągniony przez psa, wędruje obok Indjanina i Eskimosa biały

* Indjańskie sanki, sporządzone z cienkiej deseczki wygiętej w górę ku przodowi.

misjonarz, kupiec, myśliwy. Przywykłym do ciepłego kąta trudno mieści się w głowie odporność ludzi, którzy za całą obronę przed straszliwym mrozem mają zaledwie do dyspozycji płócienny namiot, ognisko i wełnianą kołdrę, rodzaj saka, w którym sypiają wsunięci po uszy, znużeni uciążliwym marszem. Wyprawy te, bez względu na cel ideowy czy materialny, są zawsze aktem nieprzeciętnej odwagi i twardą próbą wytrzymałości. Bo znój to nie mały tak we dnie, gdy trzeba brnąć przez białe bezdroża naprzekór lodowatym wichrom i zadymkom o nieopisanej gwałtowności, jak i w noc, choć rozjaśnione często zorzą polarną, ale siarczyście zimne.

Wszystkie niedole bytowania pod gołym niebem, wśród śniegów, zdala od przytulnej oberży lub rodzinnego domu, zna wyśmienicie stary wyga traper, typ bardzo powszedni na dalekiej Północy. Nic ciekawszego nad opowiadania osobników, obeznanych z warunkami surowego zawodu na równi z tubylcem. Ten ostatni dając się doścignąć w łowiectwie, pozostał mistrzem w umiejętności kierowania pirogą, a przede wszystkim w podróżowaniu po lodach niezliczonych jezior i rzek w czasie długiej, ostrej zimy. Niema wypadku, ażeby taki utopił się na niedosyć zamarzniętej tafli, jakkolwiek wiezie on zwykle z sobą kobiety, dzieci, cały aparat domowy i my-



Traperska sielanka



Pirogi

śliwski. Wśród naszczekiwania zadyszanych psów sunie bez obawy oryginalny tabor najniebezpieczniejszemi szlakami. Biali przeciwnie giną aż zbyt często i nieraz późną wiosną litościwa fala znosi ku brzegowi topielca.

Niezrażony bynajmniej prawdopodobieństwem samotnej, tragicznej śmierci traper krząta się w ciągu krótkiego lata około zimowej spiżarni. W odległym zakątku kniei buduje on zazwyczaj nędzną chatynę i tam gromadzi prowianty, składające się przeważnie z konserw, dalej kawy, cukru, fasoli, serów, słoniny i t. p. Praca to niełatwa, gdyż prowadzenie obładowanej barki po kapryśnych wodach wymaga czujności, zręczności i doświadczenia, zwłaszcza że przewożone tą drogą nieodzowne psy nie zawsze zachowują spokój potrzebny wobec zbałwanionych głębin. Poza to progi, wodospady stanowią przeszkodę, którą omija się, tnąc przejścia w lesie i dźwigając łódź na głowie a żywność na plecach. Dlatego traper dobiera sobie towarzysza, dzieli z nim mozoły ale i korzyści.

Zwiastuny zimy zastają obydwu zajętych nastawianiem pułapek i fabrykacją trucizn. Ot i odwrotna strona medalu. Przedsięwzięcie, polegające na chwytaniu zwierząt w żelaza, było i będzie z punktu widzenia myśliwskiego nędznym procederem, wogóle zaś trąci czemś nieszlachetnem jak wszelki

podstęp i sidło. Rzemiosło to więc samo w sobie co najmniej niepiękne, tembardziej, że chodzi o królewski łup, o bobra, czarnego i srebrzystego lisa, padających masowo ofiarą ludzkiej przebiegłości. Niestety traper nie troszczy się wcale o opinię kulturalnego Nemroda, którego z pewnością uważałby za półgłówka, gdyby mu ktoś próbował tłumaczyć rycerską ideę polowania. Nie w głowie mu bowiem zaszczytne spotkania z niedźwiedziem lub wilkiem, ale poprostu dolary, zasilające mu dostatnio kieszeń dwa razy w roku wzamian za skórki leśnych stworzeń. To też uśmierca on je najczęściej bez względu na wiek i rodzaj ku słusznemu oburzeniu „dzikich“, posiadających niekiedy więcej zrozumienia dla łowieckiego gospodarstwa i nienawidzących białego intruza z całego serca. Niechęć, mimo trwożliwy respekt wobec angielskich władz policyjnych, objawia się czasami czynnie ograbieniem i spalaniem pod nieobecność właściciela jego schroniska w lesie, albo innym mniej lub więcej złośliwym postępkim. Czcze wystąpienia nie przynoszą zmiany na lepsze, a i protesty kompetentnych są na razie prawdziwie głosem wołającego na puszczy. Nie dziwota, że cenny zwierzostan w niektórych miejscowościach zanikł albo zanika, że szukać go trzeba obecnie dalej i z mudniej. Roją się wprawdzie jeszcze niezgłębione

obszary od bobrów, kun, wydr, lisów, gronostajów, lecz czegoż nie dokona uparte prześladowanie?

Chociaż niszczycielskie dzieło nie wzbudza entuzjazmu, to jednak musimy przyznać, że życie „à la belle étoile“, w tak zimnym klimacie nie należy do najłatwiejszych. Interesujące nas może szczegółły hardej egzystencji nierzadko mają we wspomnieniach trapera posmak śmiertelnej godziny, spędzonej twarzą w twarz z kostuchą. Bo nie zagrzewa on miejsca pod dachem lichej sadyby, ale ładuje namiot i część prowiantów na wąskie saneczki, zaprzęga psy i rusza w śnieżną dal na długą wędrówkę, podczas gdy jego współnik oddala się w przeciwnym kierunku. Ileż razy zdani na łaskę zawieruchy napróżno bronią się oni przed przenikliwym zimnem, nadśluchując niecierpliwie szmerów w kociołku, zawieszonym nad ogniskiem. Gdy lód załamie się pod stopami, obciążone psy idą na dno. Jakim sposobem człowiek, pozbawiony broni, pożywienia, ratuje się z opałów, skąd czerpie siły do pokonania trudów nie do wiary, pozostaje tajemnicą Opatrzności. A przecież ten i ów chodzi dotąd po świecie, dziwiąc się własnemu ocaleniu. Z czemże jednak porównać okoliczności, wśród których życie ludzkie zależy od — zapałki! Niechże bowiem zamokną bezcenne w danej chwili pudełka, a tortury mrozu okrutnie

zaczynają doskwierać. Lecz Amerykanin w pogoni za fortuną nie da się niczem odstraszyć, zaś traper wytrwale służy dewizie: „make money“.*

Niemniej wytrawnym i otrząskanym z niebezpieczeństwami podróżnikiem jest prospektor. Przepędza on na włóczędże większość swoich dni, badając terena i ostrożnie, aby nie zostać podpatrzonym, przekopując nocami miejsca, gdzie wedle jego przypuszczeń powinien znajdować się drogocenny kruszec. Niewdzięcznej robocie, tylekroć przepłaconej rozczarowaniem, nie zbywa nigdy na pracownikach, którzy z narażeniem zdrowej głowy dążą uparcie do rzadko osiągalnych zysków. Pół biedy jeszcze, jeśli są oni wysłannikami bogatego przedsiębiorstwa, lecz kto na własną rękę prowadzi poszukiwania, najczęściej traci wszystko co posiadał na nieodzowny sprzęt, żywność i odzienie. Praktyczniej zatem być drwalem, zadawalniającym się małym lecz pewnym zarobkiem, najpierw przy rąbaniu a potem obróbce drzewa w okolicznych tartakach, i rzeczywiście zawód ten liczy najwięcej zwolenników.

Zapadłe miłościny kanadyjskie, kędy w schludnych domkach żyją rodziny stałych robotników, posiadają zwykle po kilka zajazdów, udzielających przytułku

* Rób majątek.



Jeziorem Shabogama w zimie



Przez śnieżną pustynię

wszelakiej zbieraninie. Myśliwi, poszukiwacze złota, kupcy futer, żandarmi z „królewskiej konnej“, poganiacze psów gromadzą się w nich przelotnie, ażeby przed wyruszeniem w dalszą drogę przespać się, zjeść i — ogolić. Pozatem krótki odpoczynek upływa im na żuciu gumy, tytoniu oraz pogawędce w przed-sionku oberży o swoich sukcesach lub niepowodzeniach, zaś flirt z nadobnymi rodaczkami, wypełnia resztę czasu. Ogorzali, barczyści, ubrani dostаточно wchodząc nie odkrywają głowy i poprzestają na zwięzłym pozdrowieniu, nietylko z nieokrzesania ile ze zwyczaju dosyć rozpowszechnionego w Ameryce Północnej. Ich stan umysłowy odpowiada naszej pół-inteligencji, chociaż wielu jest zgoła niepiśmiennych, a o pewnej kulturze towarzyskiej u tych ludzi od wiosła i siekiery świadczą względy okazywane kobietom, wykluczające przekleństwa w ich obecności, używanie gminnych wyrażen i wogóle nierycerskie zachowanie. Wśród nich tuziemcy, usunięci w cień, przeważnie milczą i tylko śmiechem wyrażają niejasno swoje myśli.

Kanadyjczycy odnoszą się niechętnie do Indian nazywając ich wzgardliwie „les sauvages“. Niewiadomo czy przyczyną jest pamięć krwawych pogromów, zastarzała nienawiść z okresu zajadłych walk, okrucieństwa czerwonoskórych, czy duma uprzywi-

lejewanych wobec zgnębionych, wczorajszych barbarzyńców, dosyć, że niema dla nich miejsca w gościnnych zwykle chatach, ani stołka, gdy „dziki“ wejdzie znużony, ni szklanki gorącej herbaty dla zziębniętego. Chyba, że dobrze zapłaci, dolary bowiem ułatwiają tam ogromnie drogę do szacunku i życzliwości.

Czerwone dzieci nie znają wartości pieniądza, lekceważą go, zato obrazki na banknotach budzą w nich prawdziwe zainteresowanie. Dochody ze sprzedaży skór najchętniej trwonią, gotowi zawsze oddać za litr *whisky* lwią część zarobku. Upity Indjanin staje się niebezpieczny, nierzadko wpada w szał, klnie i rozbija, co mu wpadnie w ręce. Choć prawo czuwa, karząc wysoką grzywną poczęstowanie krajowca kieliszkiem wódki, a potajemną sprzedaż kryminałem, niemniej jednak nieuczciwe transakcje ciągle są praktykowane.

Dziecinni pod wieloma względami Indjanie lubują się w kolorach. Kobiety ich brzydkie jak grzech śmiertelny, strzeżone, nawiasem mówiąc, zazdrośnie przed białymi, przystrajają się barwnie a i mężczyźni nie gardzą pstrokacizną w odzieniu.

Jaką jest ich dusza, co myślą i czują, niełatwo odgadnąć. Najlepiej jeszcze znają ich duchową sylwetkę księża, specjalnie przydzieleni do czuwania nad tą prymitywną gromadką. Trudno zaś o czci-

godniejszą osobistość od tego w czarnej sutannie pasterza półdzikiej owczarni z puszczy Ameryki Północnej. Jest to oryginał, który wśród rozlicznych zajęć kapłańskich sam sobie przygotowuje posiłek, rąbie drzewo na opał, nosi wodę, nie zaniedbując przytem ćwiczeń umysłowych. Jedyńy to także biały cieszący się zaufaniem czerwonoskórych.

Indianie podejrzliwi z natury mają do nieufności w wielu wypadkach realne powody. Przeważnie analfabeci, nie umiejąc także rachować, bywają często wyzyskiwani przez handlarzy, dybiących na ich cenne trofea myśliwskie, doskonale spreparowane skóry bobrów, rysi, wydr, kun, lisów, gronostajów. „Dzieci lasu“ skupiają się więc koło misjonarza, bezinteresownego przyjaciela o niezachwianej uczciwości i dobroczynnem sercu. Jest on nietylko pośrednikiem pomiędzy nimi a Bogiem, ale spełnia wobec rządu i społeczeństwa rolę obrońcy ziemskich interesów koczowniczej rzeszy.

Podwójne to zadanie nastęrcza niemałe trudności. Trzeba przedewszystkiem opanować język klientów, a raczej języki, bo co szczep to inna mowa, odrębna pisownia. Musi się mieć siły i żelazne zdrowie do znoszenia uciążliwego życia w lesie, na wodzie, pod namiotem, wreszcie ducha poświęcenia i pokory, ażeby zniżyć się do poziomu myślenia nieoświeconych i obcych rasą ludzi.

Czerwonoskórzy prócz religji, jej zasad, przykazań, które, należy przyznać, ściśle obserwują, nic więcej właściwie od białych nie przyjęli. Cudownym instynktem wiedzeni wybrali najlepszą część, odgradzając się od reszty murem charakterystycznej w nich obojętności. Działał w tem zapewne nieukojonny głód przestrzeni i swobody, a może duma wojowników, pobitych na głowę i wydziedziczonych na własnej ziemi, dość, że trzy wieki energicznej pracy rozwojowej nie zdołały ucywilizować autochtona. Za cały ten okres przyswoili oni sobie zaledwie co nieco z odzienia, pożywienia oraz sposób podróżowania czasami koleją żelazną. Bah! w sercu puszczy, w najdzikszem ustroniu, na tle szałasu i ogniska spotkać można Indjankę w olbrzymim kapeluszu w rodzaju „chanteclair’a“, lub gorzej jeszcze, z całym ogrodem warzywo-owocowym na okrągłej jak pomarańcza głowie.

Wynalazki, dziwa techniki nowoczesnej, mają dla Indjan wartość chwilowej rozrywki, nie obudzając chęci posiadania automobilu, radja czy elektrycznego oświetlenia. Są tacy, którzy nigdy nie widzieli pociągu, a kiedy dzięki nieustannej włóczędze szczęśliwym trafem napotkają tor kolejowy, naiwny podziw dla sapiącego potwora prawdziwie niema granic.



Indjanki z plemienia Algonkinów



Trofeum

Wiedza nie znajduje w tym światku reprezentantów. Wykształcony Indjanin pojawia się w Kanadzie mniej więcej raz na sto lat i bywa pokazywany jako curiosum, omal że nie za pieniądze.

W tem środowisku biednych, brudnych, zacofanych, żyje i działa francuski misjonarz. Obeznany z trudami, nie bacząc na muchy, w wywrotnej pirozdze, przez progi i wodospady dąży wytrwale śladem dziwnych parafjan. W zimie na saniach, albo i podkasawszy sutannę pieszo, na raketach dogania ich wszędzie, choć pchani falą kolonistów ustępują coraz dalej na północ. Oprócz zapału dla nauki Chrystusowej, litości nad twardą dolą biedaków, sympatji dla tych, którzy wypędzając z pod wigwamu wielkiego „Manitu“,* mimo grubą ciemnotę umysłową tak dobrze zrozumieli ideę krzyża, ożywiać musi szeregi kanadyjskich księży duch pierwszych za oceanem w XVII wieku przedstawicieli francuskiego apostołatu. Męczennicy, którym wyrrywano paznokcie i wypalano oczy, błogosławiący prześladowcom w godzinie śmierci, kierują widocznie krokami swoich następców.

W drewnianej kaplicy albo poprostu w lichej indjańskiej sadybie, rozdzielają oni chleb żywota łagodnym już dzisiaj tubylcom i wespół z nimi modlą

* Wielki duch, bożek.

się za oszukane dusze, co ulegając wpływow prote-
stantów, przyjęły ich wyznanie. Na zaimprovizowa-
nem probostwie ksiądz otoczony skośnooką czeladką
daje rady, dzieli jej radości i smutki. I śmieje się
z nią razem, bo czerwone dzieci lubią śmiać się na-
wet bez wyraźnego powodu. Nie przeszkadza, gdy
plują, śmiecą, rzucają zapalki i popiół na podłogę,
gdyż wszelkie uwagi w tym kierunku pozostają zwy-
kle bez echa. Zaprasza do swojego stołu, choć nie
jedzą a pożerają, posługując się palcami i wyciera-
jąc talerze chustkami do nosa.

„Czarna suknia“ była zawsze dla nich wzorem
cierpliwości, nie zraża jej więc prostactwo obycza-
jów, ni widok niewiasty karmiącej podczas nabożeń-
stwa niemowlę przyniesione w koszyku na plecach.
Ona je może kilka dni temu powiła na śniegu, na
bezludziu i już przebiegła mil kilkadziesiąt, aby dać
ochrzcić maleństwo o błyszczących oczkach i czar-
nych jak heban włosach. Ale przewodnik czuwa, by
matka nauczyła je z czasem pacierza i energicznie
walczy przeciw pijaństwu mężczyzn, czyniącemu
w tych organizmach straszliwe spustoszenia.

Któż wie, czy ci nędzarze powolni i wdzięczni
zasłudze, dojrzewającej cicho, bez reklamy, znacznie
nie wyprzedzą nas, gruntownie ucywilizowanych,
kiedyś, kiedyś — w ostatnim biegu o nagrodę.

V.

NA ZACHODZIE

Kiedy po kilku dniach drogi ze wschodu kanadyjski express zbliża się wreszcie do miejsca naszego przeznaczenia, z rozkoszą prostujemy zdrętwiały kręgosłup, oczekując niecierpliwie chwili opuszczenia wagonu. Donośny dzwon na parowozie, oznajmiający stacji nadchodzenie pociągu, wzbudza w nas dreszczyk zaciekawienia i lekkiego niepokoju, zwłaszcza wobec perspektywy ścielenia sobie gniazda na czas nieograniczony w obcej miejscowości i wśród nieznanych ludzi.

Winnipeg! Główne miasto stanu Manitoba, brama zachodniej Kanady i centrum emigracji z różnych krajów Europy. Dostyc ażeby zainteresować cudzoziemca, przeglądającego się uważnie przejawom tamtejszego życia. A w Winnipegu pulsuje ono nie na żarty. Oszołomionych jeszcze długotrwałem kołysaniem, zgrzytami, hałasem ogromnych wozów kolejowych unosi odrazu prąd dwóch najbardziej ożywionych arteryj: Main Street i Portage Avenue. Wszystkie prawie urzędy, prywatne biura, przedsiębiorstwa, poradnie lekarskie, redakcje, kantory skupiają

się w tej dzielnicy. Gwar przechodniów, dzwonki tramwajowe i automatów kierujących ruchem, syreny, warczenie motorów wytwarzają charakterystyczny dla amerykańskiej ulicy harmider, któremu wieczorami dodają zacięcia drgające, kolorowe reklamy świetlne. Zato dalsze, mieszkalne partje, zabudowane przeważnie willami, tchną większym spokojem i świeżym powiewem z doskonale utrzymanych ogródków. Wogóle wygląd miasta czyni na przybyszu doskonale wrażenie. Latem tonie ono w zieloności, a drzewa, murawy, kwiaty, wodotryski czynią miłą atmosferę.

Oczarowani na pierwsze wejrzenie spostrzegamy się jednak bardzo prędko, że poza zewnętrzną swoją szatą Winnipeg nie prezentuje innego wdzięku. Podobnie jak i we wszystkich innych środowiskach Nowego Świata, szablon panuje tam niepodzielnie, interes jest treścią, komfort ideałem, auto, dancing, kino wątpliwą okrasą egzystencji. Brak strawy dla umysłu, ducha, kulturalnej rozrywki, daje się ogromnie odczuwać. Nic, tylko gonitwa za pieniądzem, standard mechanicznej pracy, zorganizowany materializm.

Młoda stolica liczy około 300.000 mieszkańców, w tem zaś obok miejscowej ludności angielskiej moc Irlandczyków, Niemców, Skandynawów, dalej Cze-



Winnipeg. Gmach Parlamentu



Winnipeg. Przed magazynem firmy Hudson Bay Co.

chów, Polaków, Rusinów, Rosjan i innych. Wszyscy ci przybysze asymilują się przynajmniej częściowo już w krótkim przeciągu czasu. Kanada to ziemia wolności „free country“,* gdzie można chwycić się każdej gałęzi, próbować rozmaitych sposobów zapewnienia sobie bytu, lecz warunkiem do zdobycia lepszego miejsca przy warsztacie pracy jest w pierwszym rzędzie upodobnienie się do ogółu w pojęciach, wyglądzie, zwyczaju. Okoliczność tę wyczuwa się natychmiast, a większość imigrantów poddaje się jej tem łatwiej, że stosunki amerykańskie w porównaniu z wegetacją na ciasnych przeważnie, ojczystych zagonach przedstawiają się im zachwycająco.

Kanadyjski Anglik zasadniczo nie różni się od swojego brata i sąsiada ze Stanów Zjednoczonych. Jest to ten sam *yankee* chłodny, małomówny, zarozumiały i pracowity. Jak i tamten ubiera się starannie, mieszka nader przyzwoicie, zarobkuje w pocie czoła i bawi się najchętniej. Mało wrażliwy na europejską uszczypliwość obojętnie słucha aluzji, dotyczących jego form zewnętrznych, które, wiadomo, z naszego punktu widzenia, są u nich mało wykwintne, a nawet wręcz rażące. Amerykanie jednak nie uważają za stosowne zmieniać swoich obyczajów z tej błahej przyczyny, że nie podobają się one

* Wolny kraj.

„zgniłej Europie“ i z całą swobodą uprawiają własny sposób bycia w myśl nieznanego im zresztą dosłownie polskiego przysłowia: „wolno-ć Tomku w swoim domku“. Bo i dlaczego mieliby odmawiać sobie przyjemności wypoczywania bez surdutów, z nogami na stole, żucia gumy, spluwania przy każdej okazji ze zręcznością godną lepszej sprawy, skoro i tak budzą podziw i zazdrość całego świata, a do ich wrót pukają wszystkie narodowości.

Lądując na tym wymarzonym przez tysiące ludzi kontynencie, stajemy zdumieni wobec niespodzianek, jakie spotykają nas na każdym prawie kroku. Nic to, że wbrew oczekiwaniu dolary bardzo powoli znajdują drogę do naszej kieszeni, ani że człowiek początkowo żyje stokroć gorzej niż w Europie, ale wysiłek pracy wymagany za oceanem przechodzi często imaginację wychodźcy. Kiedy więc nieraz znużony i smutny marzy o miłym przypiecku, gdzie dawniej niejedną godzinę drogiego czasu przespał i zmarnotrawił, Amerykanin jak dziecię lekki i wesoły sunie po ukończonem zajęciu, pod ramię z towarzyszką na dancing lub do kinomatografu.

NieZRównane zalety i kardynalne braki są charakterystyczną cechą tamtejszego społeczeństwa. O ile rozmach, organizacja, wyścig pracy wywołują niekłamany podziw, to umysłowość stanowi bez wątpie-

nia odwrotną stroną medalu. Przedewszystkiem kończenie szkół, zdawanie matury nie jest bynajmniej tak jak u nas punktem ambicji rodziców i kwestją przyszłości dziecka. Jeżeli uczeń albo uczennica zdradzają wybitniejsze zdolności i szczególną chęć do nauki, wówczas kontynuują ją w wyższych uczelniach nieraz w trudnych warunkach, zarabiając równocześnie na utrzymanie. Najczęściej jednak dla ruchliwych i nieznośnych amerykańskich dzieci lekcje nie mają innego znaczenia ponadto, że w antraktach można w miłej kompanji stawać na głowie, boksować się i gimnastykować dowoli. To też mało chyba wyrostków i podlotków na świecie odznacza się mierzniejszym zasobem wiadomości z zakresu przedmiotów szkolnych. Szczęściem rodzice nie przejmują się zbyt tym stanem rzeczy, pamiętając dobrze, jak niegdyś sami uganiali po ulicach nieskrępowani żadną dyscypliną, a mimo to wyrosli na dzielnych obywateli. Wiedzą oni, że skoro dzieciak nauczy się wreszcie czytać, pisać i rachować, a przybędzie mu lat i sił, pójdzie niby siłą bezwładności za przykładem innych do fabryki, urzędu, na farmę i będzie pracował na wypródkę z całą falangą swoich kompatryjotów, zaś przy pewnej dozie życiowego i handlowego sprytu, bez egzaminów, patentów, dyplomów dochrapie się stanowiska.

Dorośli Amerykanin czy Amerykanka niewiele także poświęcają czasu umysłowym zajęciom. Czytują wprawdzie pilnie dzienniki i czasopisma, ale poza działem mód, sportu i ogłoszeń nic ich tak dalece nie interesuje. A gazeta jest istotnie nieprzebraną kopalnią anonsów. Niejednokrotnie przeglądając owe rzekomo interesujące szpalty np. w poważnem „Manitoba Free Press“, zastanawiałam się głęboko, co może kogoś obchodzić, że miss Edith Campbell z Winnipegu pojechała w odwiedziny do swojej przyjaciółki mrs. Betty Reynolds w Edmtonie, Alta., a pani N. D. Greenway, zamieszkała w Outlook, Sask, powiła rozkosznego malca Williama Greenway, poczem oboje czują się dobrze. Podawanie tego rodzaju nowin do publicznej wiadomości należy jednak do dobrego tonu, a „jeśli wleziesz między wrony“, to choć nie musisz koniecznie czytać wszystkich bredni, lecz ostatecznie możesz się na łatwej lekturze nauczyć prędeej po angielsku. Dalej, o ile świeżo przesadzony z Europy, jesteś w nowem otoczeniu jak tabaka w rogu, idźże nieszczęsny przybłądo najpierw do magazynu, ubierz się po ludzku, t. j. po amerykańsku, a potem wyszukaj w polsko-angielskich rozmówkach kilka zdawkowych zwrotów o zdrowiu i pogodzie, bo inaczej nie rozpoczniesz żadnej inteligentnej rozmowy.

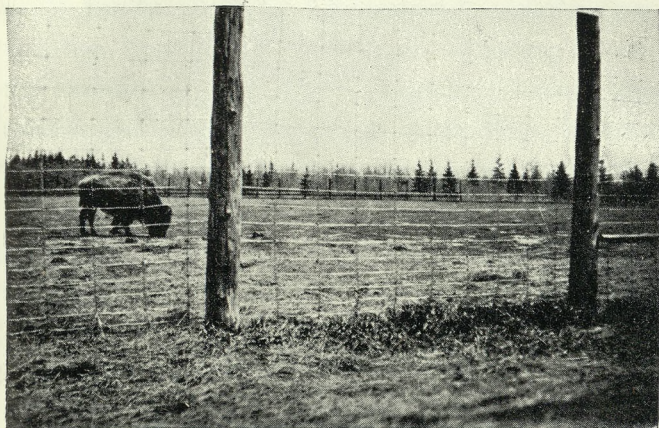
Ale żart na bok. Z osłupieniem konstatujemy zaraz na wstępie do amerykańskiego rajy niezwykłą, niesłychaną, zabójczą stereotypowość. Panuje ona wszechwładnie w domach, na ulicy, w zabawie, odzieniu, kuchni, zamięłowaniach, urzędzeniu. Kamienice, drapacze chmur, kościoły mają wszędzie ten sam poprawny, wyświeżony wygląd. Ludzie mówią, zabawiają się, jedzą, ubierają i meblują — jednakowo. I dlaczego, zapytujemy w duchu, spacerując wieczorami wzdłuż Broadway albo Main Street, które to nazwy powtarzają się także w każdym prawie mieście, dlaczego tak oryginalny i pomysłowy naród, jednostkowo wykazuje dziwnie mizerną indywidualność? Co gorsza, czujemy, że wśród nich sami jak gąbka przesiąkamy szablonem i wtedy — wtedy zaczyna w duchu odzywać się żal, za kawałkiem chociażby starego muru, jakąś czcigodną pamiątką przeszłości, świątynią, tchnącą powagą lat, za odrobiną stylu i artystycznego smaku, za parą bodaj myślących oczu, jednym słowem za — Europą.

Lecz *yankee* jest pyszałkiem i nic nie przyćmiewa jego doskonałego o sobie wyobrażenia. Gdyby nie prohibicja alkoholowa, urodzony optymista czułby się z losu najzupełniej zadowolony. Zresztą w Kanadzie sucha ustawa nie obowiązuje, istnieją tylko

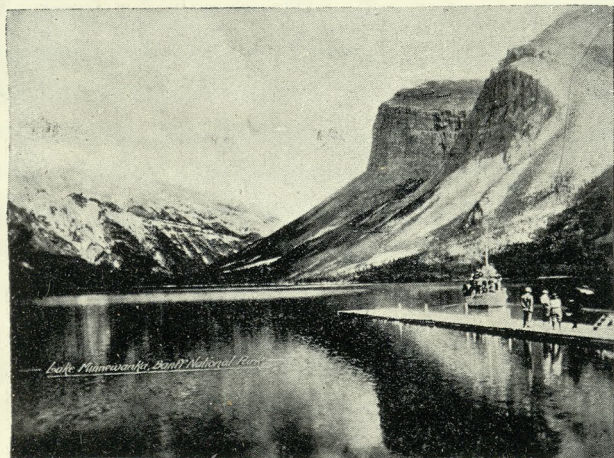
ograniczenia, na podstawie których nie wolno nikomu zakupić w składzie t. zw. *Liquor Commission* jednorazowo więcej nad jedną butelkę wódki czy wina i to za okazaniem specjalnego pozwolenia, nabywanego jednak bez wielkich trudności, corocznie, za nieznaczną opłatą. Obywatele gwiazdzystego sztandaru, korzystając skwapliwie z tak znacznych udogodnień, przyjeżdżają w odwiedziny do sąsiadów głównie celem upijania się na umór, jakkolwiek i we własnym kraju pokątny handel na szeroką skalę najzuchwalej umożliwia wszystkim te praktyki. O ile bowiem, zdaniem jednego z kongresmanów, istniało w Stanach Zjednoczonych przed wprowadzeniem prohibicji zaledwie 600 koncesjonowanych destylarni, to obecnie liczba tychże, oczywiście nielegalnych, wzrosła do dwóch milionów. Dodatkowo pozwolimy sobie zauważyć, że cyfra ta wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest o wiele wyższa.

Praworządność praworządnością, a „moonshine“* swoją drogą. Taką zdaje się być cicha dewiza rozsądnego *yankee*, a pozatem jakżeby mogły odbywać się inaczej huczne zjazdy łóż masońskich i szeregu organizacyj, w których Amerykanie lubują się całą duszą. Kiedy pewnego razu nawiedziła Winnipeg

* Dosłownie „blask księżyca“, w przenośni wyraz ten oznacza przemycaną nocami wódkę.



Winnipeg. Bizon w ogrodzie zoologicznym



Jeziro Minnewanka w stanie Alberta

wesoła banda „Rycerzy Khorassanu“, sądziłam początkowo, że miasto zostało nagle ogarnięte zbiorowym szaleństwem. Doroczne, ogromne meetingi tego związku polityczno-religijnego, urządzone kolejno we wszystkich większych miejscowościach Stanów i Kanady, polegają, poza rytualnymi ceregielami, głównie na urządzaniu bankietów i publicznych szopek, przy równoczesnem zalewaniu się szmuglowanym alkoholem. „The Dramatic Order of the Knights of Khorassan“,* przebrany w kolorowe fezy, żółte, czerwone, niebieskie bluzy i pantalony, hałasuje wówczas po ulicach, krzycząc, tańcząc, śpiewając przy dźwiękach trąb, dzwonków i piszczałek.

Co kraj, to obyczaj. Rozliczne sekty reklamują się głośno, jaskrawo, najdziwaczniejszymi efektami. Więc np. Armja Zbawienia (Salvation Army) nakazuje swoim członkiniom nosić kapuzowate kapełusiki, wiązane pod brodą, a z tyłu głowy upinać z włosów zabawną kukielkę, urągającą elementarnym zasadom gustu i wdzięku. Nie dość na tem, biedne istoty są obowiązane wieczorami na rogach ulic zawodzić pieśni nabożne, albo donośnym głosem opowiadać przechodniom historję swojego nawrócenia. A znów Duchoborcy koniecznie chcą chodzić nago i to w Kanadzie, gdzie klimat wcale nie

* Dramatyczny Zakon Rycerzy Khorassanu.

nadaje się do podobnej zabawy. Metodyści, baptyści, menonici i inni umieją na swój sposób zręcznie werbować zwolenników, zaś na czoło sekciarzy wysuwa się znany z groźniejszych ekscesów, wróg kościołów, bicz na murzynów, tajemniczy, koszmarowaty Ku-Klux-Klan.

Jakkolwiek czarni są naogół kategorią pogardzaną, jednakże znaczna liczba mulatów nie świadczy zbyt przekonująco o niezwalczonym jakoby wstępie rasowym. Zatrudnieni jako robotnicy i służba w fabrykach, portach, na kolejach, mimo podrzędną rolę, jaka im przypada w udziale, starają się oni gorliwie, przynajmniej zewnątrz, dorównywać białym. To też widok wyelegantowanego negra, upudrowanej i uróżowanej murzynki usposabia nas raczej rozbijając, podczas gdy przeciwnie Chińczycy, wyłączni prawie właściciele dusznych pralni czy brudnych garkuchni, sprawiają zawsze odstręczające wrażenie. W chińskich restauracjach, rozlokowanych gęsto po peryferjach miast, przyglądać się można zbliska kolorowemu towarzystwu i struć się, nawiasem mówiąc, zgoła niebezpiecznie, jakkolwiek minimalnym kosztem. Lepsza publiczność gromadzi się w schludnych, greckich barach, najbogatsi w horrendalnie drogich, luksusowych lokalach, do jakich zaliczają się ze znanych mi w Kanadzie np. Windsor

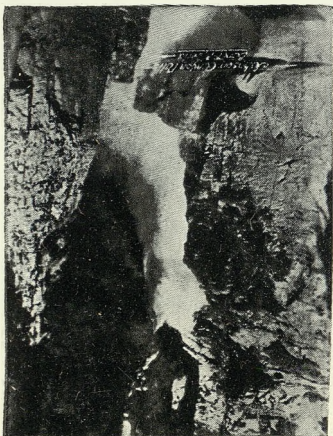
w Montrealu, Château Frontenac w Quebec'u, Fort Garry i Royal Alexandra Hotel w Winnipegu i inne.

Wśród tej mozaiki ludzkiej, na tle sal dancinowych, rojnych ulic, niezliczonych biur, magazynów mody, wreszcie ekskluzywnego *home'u* uwija się niby barwny a ruchliwy motyl, najbardziej uprzywilejowane w tem społeczeństwie stworzenie — Amerykanka. Ładna, strojna, wygadana podbija serca i cieszy się ogólnemi względami. Strzeżona troskliwie prawem i obyczajem, otoczona opieką rodaków, nie razi ich wyrachowaniem, ponieważ sami są zainteresowani, ani płytkością, jako że jest to cechą zanadto popularną. Mężczyźni żenią się młodo, chętnie, bez posagów, dla pięknych oczu, miłej twarzyczki, rozwodzą bez tragedji i dramatów. Lecz niestrudzona w zabawie i pracy, wesoła a czynna towarzyszka doli potrzebna im jest do szczęścia, chociażby okupowanego grubemi wydatkami. Bo urocza *girl*, zanim zostanie żoną a nawet narzeczoną, bezapelacyjnie żąda automobilu i strojów, nie licząc już wstępów na *match'e*, tańce, dalej gumy do żucia, wreszcie lodów z wodą sodową t. zw. *ice cream soda*, co zresztą oboje konsumują zimą i latem w niezmiernych ilościach. Zameżna czy nie, amerykańska kobieta posiada w prywatnem życiu ogromną swobodę. W tych warunkach, o ironjo! — stary kawaler bywa niezgo-

rzej obśmiewany, no a leciwej już pannie nie pozostaje chyba nic innego, jak tylko — Armja Zbawienia!

Opuśćmy te duże dzieci z ich niefrasobliwym humorem, a zarazem i Winnipeg, przedsiębiorcze miasto, które „rośnie w oczach“, chociaż podobnie jak we wszystkich pokrewnych mu grodach Nowego Świata palą się tam ciągle doszczętnie magazyny, gmachy, kamienice, prawdopodobnie z racji ogromnie rozgałęzionej sieci drutów elektrycznych. Jeżeli syrena straży pożarnej codzien prawie straszy nienawykłego do ustawicznych tego rodzaju alarmów obcokrajowca. Nie dość na tem, skutkiem ciekawego gromadzenia się elektryczności w atmosferze, iskry przeskakują często za dotknięciem jakiegokolwiek przedmiotu, nawet przy podaniu ręki, zaś suknie trzeszczą, a włosy stają dębem na głowie w chwilach najmniej krytycznych.

Ale poza stolicą Manitoby, skrawkiem ziemi, zabudowanej i zaludnionej, im dalej, głębiej na zachód, tem silniejsze czekają nas wzruszenia. Między jeziorem Winnipeg a pierwszym zboczem Gór Skalistych, na przestrzeni setek kilometrów kwadratowych, faluje prawdziwy ocean trawy — prerja. Kędy dawniej Indjanin tropił bizony, a te w ucieczce głuchym grzmotem racic mąciły ciszę równiny, dzi-



Wodospad Johnson'a (Johnson Canyon Falls)
w Górach Skalistych



Castle Mount (Góra Zamkowa)

siaj pociągi przebiegają z hukiem zieloną pustynię bez drzewa, krzaka, pagórka. Dał nieogarniona, smutek, monotonja... póki na horyzoncie nie ukaże się chmurka, strzeli grom i w spiekotę letnią wpadnie w ogniu błyskawic, z szumem potężnej ulewy — burza wirowa. A potem w słońcu wychynie oaza — farma, obóz, dalej wsie i miasta, wkońcu panorama górską roztoczy przed nami dziwy skalnych piramid, śnieżnych szczytów, lodowców, przepaści, lasów, rzek, wodospadów...

O feerjo!

VI.

WŚRÓD EMIGRANTÓW

Przenosząc się myślą w dalekie strony, gdzie żyje tylu naszych rodaków, przypatrzmy się bliżej, jak zdobywają tam oni upragniony dobrobyt, albo gorzej — nie osiągają go wcale. Nie każdemu bowiem dano nawet w Ameryce zarobić na ciepły kąt, sytą egzystencję i niejeden przybysz z Europy doświadczył tej smętnej prawdy. Nie wszystko złoto, co się świeci. Nowy Świat nie jest ową bajeczną wyspą szczęśliwości, jak to sobie naiwnie wyobrażają ludzie ubodzy, nęceni perspektywą wygodnego bytu, własnych domów, ba — automobilów, rzekomych bogactw amerykańskiego obywatela, o czym tak wiele u nas mówi się, czyta i pisze, a co zbliska wygląda znacznie mniej ponętnie. Wśród wielu krążą legendy o milionach, ale ci co spędzili szmat czasu za morzem, wiedzą dobrze, jak one są niedostępne i że tylko nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności stają się udziałem szczęśliwców.

Polscy emigranci, rekrutujący się przeważnie z wieśniaków i rzemieślników, po wylądowaniu na obcej ziemi czują się naturalnie oszołomieni nową

sytuacją, a nie znając języka i stosunków, chwilowo zdezorjentowani i bezradni. Naogół jednak nie w ciemię bici szybko przyswajają sobie najpotrzebniejsze wyrazy i otrzaskują się z położeniem. Wysyłani zazwyczaj do zachodnich, rolniczych prowincyj, jak Manitoba, Saskatchewan i Alberta, pozostają początkowo pod opieką towarzystw kolejowo-okrętowych: Canadian Pacific i Canadian National Railways Co., których obowiązkiem jest wyszukanie im roboty na farmach, względnie pomoc w zakupie gospodarstw.

Czy nader ważna akcja kierowania pierwszemi bodaj krokami imigranta została przez odnośne władze kanadyjskie gruntownie zorganizowaną — to kwestja. Może dałoby się uniknąć widoku brudnych i źle odzianych ludzi, włóczących się zimą bez zajęcia po ulicach miast, może należałoby bezrobotnym, stukającym do różnych drzwi w tej porze roku, oszczędzić ciężkich dni głodu, chłodu i poniewierki. Bo bieda zbiera tam obfite żniwo i nieraz łyży żalu za rodzinnym krajem wyciska z oczu niefortunnych choć dobrowolnych wygnańców.*

Mimo ciemne strony przedsięwzięcia, możliwość zapewnienia sobie materialnych korzyści większych aniżeli w „starym kraju“ niewątpliwie istnieje w Kanadzie. Zamożni kupcy i farmerzy dają temu

* W chwili obecnej rząd kanadyjski wstrzymał imigrację na czas nieograniczony.

wymowne świadectwo, a choć początki pewnie mieli trudne, lecz wytrwałość i energia zrobiły swoje. Chodzi głównie o to, ażeby na przyszłość nie wybierały się tam rodziny ze zbyt małym zasobem pieniędzy, niewystarczającym, jak to zdarza się często, nawet na pierwsze wydatki z osiedleniem nieodzownie związane, oraz osoby nie dość odporne na twarde warunki pracy. Da sobie radę młody chłopak czy mężczyzna w sile wieku, o ile nie zniechęcą go mróz luty, fizyczny wysiłek, prymitywne sposoby bytowania po lasach, prerjach, na wodach, zaś latem roje moskitów bardziej nużących niż widły i siekiera. Kobietom o zaczepienie rąk łatwiej, gdyż w większych środowiskach, po restauracjach czy prywatnych domach zawsze je potrzebują, zwłaszcza że ich miejscowa służba domowa jest nieliczna, droga i wymagająca.

Nie należy łudzić się, że „gołąbki same wlatują do gąbki“ łasego na dolary cudzoziemca. Gdzież tam! — ażeby je posiąść, trzeba zęby zacisnąć i karku dobrze nagiąć. Wiadomo, klęski chodzą po ludziach, więc ten i ów zamiast spodziewanego majątku wyniesie kalectwo i tacy są najbardziej pożałowania godni. Iluż ginie skutkiem wypadków kolejowych, w fabrykach, kopalniach, ilu chorych deportują, jako że nie mając grosza przy duszy stali się

ciężarem publicznym. Wielu repatrjowanych przez konsulaty powraca z pustemi rękoma na ojczysty zagon.

Uwagi nad możliwemi niepowodzeniami nie mają
 /a
 wszakże na celu odstraszenie pragnących wyjechać za ocean. Takie krakanie byłoby zgoła niewłaściwe i pozbawione sensu. Słusznie powiedziano, że wychodźtwa jest objawem żywotności narodu, a poza-tem, to doskonała szkoła hartu, wyrobienia i propaganda imienia narodu. Lepiej jednak zapoznać się zawczasu z niedoborami wychodźczej doli, niż puszczać się w drogę z zapasem wiadomości, nie mających częstokroć nic wspólnego z rzeczywistością.

Kanada, pod względem obszaru odpowiadająca Europie, posiada zaledwie około dziesięciu milionów ludności i długo jeszcze będzie potrzebowała pomocniczych, roboczych dłoni. Klimat w nadmorskich prowincjach łagodny; w innych ostre zimy i ciepłe lata nie sprawiają nam Polakom wielkich niespodzianek. Rolnik ma przed sobą pole do popisu, ale wobec odmiennych metod gospodarowania europejski wieśniak musi jakiś czas pilnie baczyć, jak czynią inni i naśladować ich sposoby. Istną plagę stanowią nieuczciwi pośrednicy, wykorzystujący łatwowiernych pod najrozmaitszemi pozorami. To też rozsądniej jest przeprowadzać np. transakcje ziemią za

pośrednictwem urzędników Canadian Pacific lub National Ry., a chociaż do t. zw. „farm kompanijnych“ nieproszeni doradcy źle usposabiają kupujących, to na początek najbezpieczniejszy krok do interesu. Dalej trzeba liczyć na własne siły, nie zrażać się przeciwnościami, lecz trwać przy zasadzie: „cierpliwością i pracą...”

Dostatek długo nieraz daje na siebie czekać. Niejeden przewędrował za nim Kanadę od morza do morza, jako górnik, drwal, miejski i wiejski robotnik, rybak czy traper, zanim udało mu się zwabić pod swój dach nieskorego gościa. Ci zrealizowali swoje pragnienia kosztem trudnych, żmudnych lat.

Po miastach starsza brać emigracyjna prowadzi często tryb życia omal że nie stuprocentowych Kanadyjczyków. Własny bungalow,* radja, gramofony, nie mówiąc już o telefonach, czy kuchniach elektrycznych, świadczą o zrównaniu się w gustach i przyzwyczajeniach z elementem amerykańskim. Gdybyż te wszystkie, wygodne urządzenia nie były czemś bardzo powszechnem, kupowaniem na łatwe spląty, możnaby myśleć, że wielu z naszych osiągnęło błogi „*bien être*“ w pełnem tego słowa znaczeniu. Ale to przeważnie drobni funkcjonariusze, przemy-

* Willa.

słowcy lub długoletni robotnicy bogatych firm, utrzymujący się z przeciętnych zarobków.

Przestępując polski próg śledzi się z ciekawością sposób bycia i myślenia jego właścicieli, których nietylko odległość, lecz co ważniejsza, czas rozdzielił z rodzinnym krajem. Na wstępie konstatujemy, że przysłowiowa gościnność nie poszła w zapomnienie, co nas wzrusza tem więcej, że obcokrajowcy w Kanadzie, zapewne ze względu na ich liczebność, nie są zbyt mile widziani, mało drzwi otwiera się na ich przyjęcie, a tamtejsze towarzyskie kółka i kółeczka odgradzają się nawet od przybyłej inteligencji murem chłodu i obojętności. Imigrant uważany bywa za „malum necessarium“, potwierdza to między linjami prasa, poucza dosyć szybko doświadczenie. Nic to, że przyczynia się on do budowy i rozwoju młodego państwa. Włosi, Polacy, Rusini, Węgrzy, Rumuni i t. d. prócz Wielkobrytyjczyków no i... Niemców, zaliczeni są do kategorii t. zw. „non preferred“* i niema na to argumentów.

Ogrzejmy się przeto w atmosferze polskiego domu. Z otwartemi ramionami wyjdą na nasze spotkanie gospodarze, ugoszczą czem chata bogata i potoczy się żywa rozmowa o ojczyźnie i obczyźnie. Trochę nam przykro, że posługują się oni mową gęsto

* Niepożądany.

przeplataną angielszczyzną, smutno, że dzieci, wychowane w Kanadzie i tam uczęszczające do szkół, porozumiewają się ze sobą w obcym języku. Podtrzymywanie narodowego ducha u młodzieży, która Polski nigdy nie widziała, lub opuściła ją w maleńkości, jest nielada zadaniem dla kulturalnych rodziców, a cóż dopiero dla prostaczków. Pod tym względem braki dają się wyczuwać mimo szczery wysiłek ogółu w kierunku zachowania polskości.

Jakkolwiek zrzeszanie się synów jednej ziemi, rozprószonych na olbrzymim terenie, napotyka na przeszkody, to jednak dążność ku temu celowi istnieje i wydaje plony. Część zasługi przypada tu parafjom, część świeckim związkom i organizacjom. Niestety osłabiają chwalebną działalność niesnaski, co gorsza na tle religijnem. Nie dosyć, że wśród przeróżnych wyznań i zwarjowanych sekt katolicyzm ucierpiał niejedno odstępstwo, to jeszcze w łonie samego wychodźstwa kampanja antyklerykalna z jednej strony, a z drugiej rażąco „bussines’owe“ traktowanie spraw duchownych dolewają oliwy do ognia. Stąd przykry antagonizm, zacierzwienie, utarczki, z których prócz wody na młyn nieproszonych apostołów nie pożytecznego nie wynika ani dla Boga, ani dla ojczyzny.

Winnipeg jest siedzibą kilku ważniejszych pol-

skich stowarzyszeń jak: Sokół, Polski Oddział Legjonu Kanadyjskiego (Towarzystwo Weteranów Wielkiej Wojny), Towarzystwo Jana Kantego, Piotra i Pawła, św. Ducha. Dwa tygodniki, a mianowicie „Czas“ i „Gazeta Katolicka“, słabo redagowane, rozbrzmiewające aż do znudzenia bojowymi salwami wrogich sobie obozów, nie stoją na wysokości zadania.

Ten rzut oka na dane stosunki przyczyni się może do oświecenia życia naszych braci za morzem. Nie spoczywają tam oni na laurach, ani czekają, co im spadnie z nieba, ale, jeżeli sięją i zbierają, to wyteżoną, skrzętną pracą i zapobiegliwością. Więc polskim pionierom na dalekich szlakach „Szczęść Boże!“.

VII.

W KONSULACIE

Od dnia, kiedy przy pryncypalnej ulicy Winnipegu przybito u drzwi okazałego gmachu tablicę z ogłoszeniem, że tu obecnie, po paroletniej przerwie, rozpoczął znów urzędowanie Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej, nie było chyba naszego emigranta, któryby przechodząc, nie zatrzymał się i po kilkakroć nie odczytał napisu. Bo brak opieki dawał się zdawna we znaki polskim obywatelom w okręgu, który, ze względu na swój rolniczy charakter, gęściej niż gdziekolwiek w Kanadzie zgromadził brać wychodzącą. Instytucja, mająca na celu między innymi niesienie pomocy i rady pokrzywdzonym, słabym, bezdomnym rodakom na obczyźnie, posiada w tych stronach szerokie pole działania. Ciągnie doń sznurkiem wszelaka lacka i ruska biedota jak do cudownego źródła, tryskającego z rozkazu Najjaśniejszej dla ulżenia emigracyjnej niedoli. Ten i ów odchodzi podniesiony na duchu, ponieważ nie odmówiono mu małej zapomogi pieniężnej, obiecano wyszukać pracę czy kąt w szpitalu. Ale są tacy, którzy nie pojmują, że urząd konsularny nie jest wła-

dzą miejscową, sądem, policją, magistratem i że w wielu wypadkach decyzja nie leży w jego mocy, jakkolwiek szczerze pragnąłby wesprzeć stroskanych i bardzo nieraz osamotnionych na obcej ziemi Polaków.

— Boże mój Boże — zawodzi staruszka, którą zięć wybił a zła córka wygnała z domu — zeby nie ta woda, toby cłek piechotą sed do swego kraju, a tak cóż pocnie? — i żałosna skarga ginie bez echa w czeluściach klatki schodowej.

Innym razem mąż lamentuje, że żona go się „odrzekła“, że dziecka zostały bez dozoru, że ach! nieszczęścia tyle! — I cóż na to odpowiedzieć nieborakowi?

Zimą gdy o zarobek trudno, bezrobotni walą gromadami, a wtedy ciżba powstaje w biurze i ruch jak w ulu. Stłoczeni w ciasnej poczekalni biedacy opowiadają bezładnie o swoich rozczarowaniach i krytycznym położeniu. Równocześnie dzwonią telefony, wpada woźny z zaczerwienionym od mrozu nosem, ażeby za chwilę znów wybiec z posłaniem przeważnie do agentów wielkich towarzystw kolejowych: Canadian Pacific i Canadian National Ry., — ci zaś ze swej strony chodzą na głowach, nie wiedząc dobrze, jak wykręcić się z przykrego obowiązku zapewnienia chleba i dachu rzeszom imigrantów.

dzięki którym, nawiasem mówiąc, kompanje te zarabiają miliony!

Po jakimś czasie ludziska, rozumiejąc bezcelowość obozowania w konsulacie, rozchodzą się powoli. Pozostaje dwóch lub trzech delegatów, tych zaś zadaniem jest siedzieć nieruchomo, nieraz kilka godzin z rzędu, w oczekiwaniu na wynik pertraktacyj, stanowiących o wspólnym losie.

Atmosfera zdenerwowania udziela się całemu urzędowi. Funkcjonariusze napróżno starają się skupić uwagę nad stosami pism, wdzięczących się w sposób natrętny na stołach i stołkach. Wszystkich jednakowo nurtuje ciekawość, jaki ostatecznie weźmie obrót sprawa zatrudnienia robotników? Nie dziw przeto, że księgowy myli się w rachunkach, maszynistka przewraca na siebie szafę z aktami, a kierownik placówki w zaaferowaniu nie umie sobie znaleźć miejsca.

Wreszcie nadciąga pomyślna (przypuśćmy) wiadomość, a mianowicie, że nasi otrzymali robotę, niżkowe bilety do miejsca pracy, więc kamień spada z serc, cichną dyskusje i wszystko wraca do normalnego trybu. Zadowolenie jest tak wielkie, że nawet płaczliwy głos jakiejś babiny, utrzymującej, że jej małżonek jest „skończonym łotrem“, nie wzbudza zainteresowania. Zkolei ukazują się inni klienci,

przybrani „z waszecia“, kobiety zaś z wyraźną pretensją do elegancji, mimo kartoflane noski, zdradzające pochodzenie z Psiej lub Koziej Wólki. Na krzepkich ramionach typowej Nastusi pękają szwy modnego płaszczyka, a z pod kolorowego kapelusza cisną się w nieładzie pofryzowane kudełki.

— Pani sobie życzy?...

— Choczu jichaty do stejców,* na wizytu do familji.

— Nazwisko pani?

— Miss Nettie Karaluch.

Z dalszego ciągu urzędowej indagacji wynika, że miss Karaluch urodziła się we wsi Kobyłowłoki z ojca Dańka, z matki Pazi z Czubatych, że przybyła do Kanady dwa lata temu i już miała czas z poczwarki przekształcić się w nadobnego motylka. Lecz przejdźmy nad nią do porządku dziennego, bo oto jawią się w wąskich drzwiach aż trzy osoby, liczące napewno razem ze dwieście pięćdziesiąt wiosen.

Mąż i żona, bardzo starzy oboje, proszą o wydobyć dla nich z urzędu parafjalnego w Kaczycach metryki urodzenia, potrzebnych niezbędnie do uzyskania przewidzianej w Kanadzie pensji dla starców. Towarzyszący im mężczyzna podjął się czuwania, ażeby w drodze do konsulatu wiekowa para nie

* United States, Stany Zjednoczone.

wypadła z tramwaju pod automobil, a tem samym nie utraciła prawa do wsparcia. Następują zwykłe w podobnych sprawach zapytania, więc przede-wszystkiem:

— Dzień, miesiąc, rok urodzenia?

Bezzębne wargi uśmiechają się ze zdziwieniem. Osobliwe żądanie! Skąd oni mogą pamiętać takie szczegóły? Wszak to już było tak dawno, tak bardzo dawno. W międzyczasie wojny, trzęsienia ziemi, wynalazki zmieniły oblicze świata, stało się tyle niezwykłych rzeczy, że data urodzin państwa Fibdzińskich utonęła w odmętach ich wspomnień bez żadnej nadziei wypłynięcia.

— He, he, panie konsulacie, jakże to mam rzec. Ano ani ja, ani moja żona nie pomniemy, kiedy to było...

Pan konsulat jest w kłopotcie, bo jak tu wydostać dokument dla petentów, nie umiejących podać najważniejszych danych.

— No, a znacie nazwy miejscowości, imiona rodziców, nazwiska panieńskie matek?

Pomarszczone twarze przybierają wyraz skupienia. Powoli ze zgrzybiałych mózgów niedołężna pamięć wydobywa potrzebne informacje, gdy tymczasem stojący obok krewki parobek kręci się coraz niespokojniej, czekając na swoją kolej.

— Pan w jakiej sprawie?

— Ja za poradą. Teściowa w starym kraju podała w sąd, co ja jej winien za trzy deski i pół korca jęczmienia i sąd przysłał do mnie pismo, a ja się pytam, jak to może być, żeby niewinnego człowieka takie prześladowanie spotykało?

Uprzejmie tłumaczy mu się, że o trzy deski spierać się nie warto i lepiej odesłać powódce drobną kwotę dla świętego spokoju, ale czupurny jegomość nie chce o tem słyszeć, twierdząc, że swojego nie podaruje.

— W takim razie niechaj pan wyśle do Polski pełnomocnictwo dla żony lub adwokata...

— Ja sam adwokat.

Ma się ochotę odesłać głuptasa do stu szatanów, ale w służbie konsularnej trzeba być cierpliwym aż do końca. Po dłuższem odgrążaniu się przeciwko teściowej, „adwokat“ wynosi się nareszcie, zderzając się w progu z listonoszem, obładowanym pęką torbą i naręczem gazet.

Listów co niemiara przeważnie z samej Kanady, często dziwacznie i koszlawo zaadresowanych, lecz i z Polski sporo kopert z pieczęciami naszych urzędów oraz wiele innych. Tylko prywatnej poczty ani śladu, to też twarze niektórych urzędników przeciągają się z wyrazem rozczarowania, a oczy z poza oku-

larów śledzą melancholijnie widny z okien biurowych wążutki pasek błękitnego nieba. W ojczyźnie najwidoczniej krewni, przyjaciele zapomnieli już o tych, co wywędrowali za morze w pogoni za wrażeniami. Bo i pewnie, czyż nie lepiej byłoby siedzieć spokojnie w domu i narzekać na „ciężkie czasy“ razem z innymi, niż zbijać bąki po świecie?

Nie pora to jednak ni miejsce na zadumy i nastroje. W przyległym pokoju klekoce maszyna do pisania i stentorowy głos dyktuje suche, urzędowe formuły, tedy duch czempredzej powraca z wycieczki za oceany, a ręka sięga po najbliższej leżący papier. Jest to pismo niezdarne, zaopatrzone w utarty nagłówek: „Poważny Panie Konsulacie“ i zakończone krótko: „gud baj* Harry Klocek“. Pan Klocek prosi tylko o przysłanie mu lekarstwa na żołądek, szkoda więc, że z tak drobnego powodu napsuł tyle polskich i angielskich wyrazów. Następują podania o paszporty, legalizacje dokumentów, w sprawach uzyskania odszkodowań, wydobycia spadków i t. d., większość w opłakanym emigracyjnym żargonie, obfitującym w najdziwniejsze zwroty i naleciałości. Dalej list jakiegoś domorosłego inżyniera, który wymyślił nowy typ aeroplanu i domaga się opatentowania wynalazku. Brak respektu dla

* Good bye, dowidzenia.

podstawowych reguł gramatyki i ortografji wzbudza jednakowoż poważne wątpliwości w zdrowy sens całego przedsięwzięcia. Na ostatek ciekawa nowina. Donosi poczciwa włościanka, że w jej rodzinnej wiosce, na dnie studni u sąsiada, znajdują się ukryte skarby, wobec czego radzi zawiadomić władze w Polsce celem wykorzystania okoliczności.

— O sancta simplicitas! — wzdycha referent, mający u schyłku dnia zaczerwienione uszy i podkrążone oczy z nadmiaru wysiłku. Jak człowiek o nieczystym sumieniu, wymyka się on chyłkiem po godzinach urzędowania, w obawie, ażeby jeszcze z windy nie wyciągnął go za poły spóźniony interesant i błaganiami nie zwrócił z powrotem do biura.

Bywa jednak, że późną porą buchalter biedzi się nad rachunkami, bo w kasie brak kilku centów nie wiedzieć jakim sposobem. Jak na złość wkracza wtedy, rypiąc drzwiami, baba z koszem w jednej ręce a w drugiej z groźnem narzędziem, które na szczęście jest tylko elektryczną maszyną do odkurzania dywanów. Na ten widok urzędnik chowa śpiesznie księgi i rejestra do szafy, poczem wybiega, ażeby w najbliższej restauracji pokrzepić się angielskim *steak'iem* i mdłym puddingiem.

Owiewa go ostre powietrze, mroźny wiatr przenika do kości. Gdzie pójść po kolacji, co zrobić z resztą

dnia w obcym mieście, nie mając rodziny ani domu. Teatrów i koncertów brak, muzyki słuchać można tylko przez kapryśne radjo, pozatem dancingi, kine-
matografy — to jedyne miejsca rozrywkowe. Jednem słowem: marne widoki, zwłaszcza dla cudzoziemca. x
Więc u zbiegu ulic oczekując cierpliwie, aż przepły-
nie fala tramwajów i automobilów, śle on myśl stę-
sknioną, hen, do Syreniego albo Lwiego grodu, gdzie
żałą się na długie, zimowe wieczory ludzie, którzy
nie spędzali ich samotnie na kanadyjskim bruku.

VIII.

DROGA KU POLSCE

lviii

OROLOGIAIO

Są ludzie nie umiejący zagrzać miejsca, ani trwać w jednym środowisku, wśród powtarzających się regularnie zajęć. Żywiłem ich ruch, wędrówka. Nad spój domowy przenoszą ciągłą zmianę, bo jak wichur, gdy liściem miecie, tak gna ich wciąż przed siebie nieprzeparty pociąg do włóczęgi. I choć przydaje się im zazwyczaj miano niespokojnych duchów, cóż znaczy często niesprawiedliwa opinia wobec tęsknoty za przestrzenią i cygańską pieśnią.

Żegnałam Winnipeg prawie bez przykrości, marząc o cudach Niagary i falach oceanu. Dopiero w dzień odjazdu, już na stopniach wagonu, pod wpływem serdecznego pożegnania i życzeń przychylnych mi osób, wzruszenie zatamowało nagle radość chwili niecierpliwie oczekiwanej. Polacy, emigranci, towarzysze doli... wśród nich kilka angielskich lecz przyjaznych twarzy... i serce ścisnęło się żalem za nimi, za krajem? Bóg wie — może obawą przed niewiadomem, może troską na dystans przeczutą?

Sygnaly dane, kilka białych chusteczek powiało, przeszli do wspomnień...

Pociąg biegł z rzadkimi przystankami przez pustkowia, wąwozy, tunele. Uciekały wstecz pełne czaru, dzikie krajobrazy, różańce jezior, skały, uroczyska. Raz przemknął mi przed oczyma obrazek z własnej, niedalekiej przeszłości: namiot nad wodą, ognisko i pies. A obok człowiek wypoczywał, siedząc na dużym kamieniu z rękoma splecionymi na kolanach.

Sunęliśmy dalej wzdłuż jeziora Górnego, na którym smużki dymu i kontury statków rysowały się nikle w zapadającym mroku. Wkrótce ciemność zupełnie zasłoniła świat. Podróżni trochę znudzeni wcześniej porozchodzili się na spoczynek, tylko dyżurujący murzyn w białej bluzie jak duch przemykał się korytarzami.

Długie, szerokie amerykańskie wagony mają wprawdzie tę wyższość nad innymi, że więcej w nich miejsca i powietrza, ale urządzenia sypialniane pozostawiają wiele do życzenia. Oddzielne i bardzo kosztowne przedziały obliczone są na większą ilość osób, na rodziny, podczas gdy jadący samopas musi rad nierad poprzestać na skromnej klateczce z zieloną firanką. Dwie pluszowe ławeczki służą za dolne łoża, górne, to rodzaj zamykanej we dnie szuflady. Wszystko razem nie należy do najszcześniejszych pomysłów, a kiedy rano rozespiani pasażerowie płci

obojga dążą w strojach niedbałych do umywalni, nasza europejska przyzwoitość czuje się nieco obrażona.

Trzeba było jednak zastosować się do przyjętych zwyczajów i bez deliberacji wśliznąć za kotarę. Tej nocy we śnie odwiedzałam miłe, rodzinne strony. Pociąg trajkotał kołami, dudnił, trząsał niczem nasza najgorsza „lokalka“, toteż budząc się często z trudem uprzytamniałam sobie, że tam za oknami migocąca w łagodnym oświetleniu stacyjka, to nie Kulików, ani Zimna Woda, ale śpiąca w tej głuszy obca, kanadyjska miejscina.

Trzeciego dnia o świcie stanęliśmy w Toronto, stolicy prowincji Ontario. Stamtąd po kilku godzinach drogi autobusem dojeżdża się wygodnie do „Niagara Falls“.

Któż z nas w dzieciństwie nie roił o podobnej wyprawie, kto nie biegł myślami śladem książkowych bohaterów nad brzegi Wielkich Jeziór: Superior, Huron, Michigan, Erie, Ontario. Po latach, skoro los rzadko łaskawy, przecież nas tam zaprowadzi, zbliżka już patrząc na rozległe wody, znowu duchem odbiegamy w przeszłość, kiedy opasywały je zwartym łańcuchem niezgłębione lasy i snuły się po zmarszczonej tafli brzozowe łodzie czerwonoskórych.

Pierwszymi Europejczykami, których kołysały te błękitne fale, byli podobno Francuzi. Jak wyglądał biały włóczęga, rzucony w te okolice na łaskę i nie-łaskę pierwotnej nautry, co czuł i myślał w obliczu jej groźnego majestatu, niczem niezamąconego piękna, sam wśród głuchych bezdroży ogromnego ładu? Legenda mówi o jakimś wędrowcu, którego ongi tak oczarował widok Niagary, że jako pustelnik pozostał tam do końca życia. Przywiodły go pewnie na drugą półkulę ambitne sny o fortunie, nawskróś praktyczne cele, nie ostały się wszakże potężnemu wrażeniu, rozwiane w jednej chwili czarem wodospadu. Mieszkając w lichej chacie na wybrzeżu, co rano szukał pokrzepienia w chłodnych nurtach rzeki, co wieczór grywał na arfie do wtóru huczącym żywiołom, aż niesforne i dzikie pochłoneły go one na zawsze.

A dziś — jak i wtedy niosą się w dal odgłosy grzmiących katarakt, lecz już nie słucha ich odwieczna puszcza, ani wrażliwe ucho eremity, tylko rzesze turystów, stałych mieszkańców, bezduszne mury fabryk, urzędów, hoteli.

Zdaleka już, poprzez warkot maszyny i gwar rozmawiających, dochodzi nas przeciągły, charakterystyczny poszum. Mijamy most przerzucony nad głębokim jarem rzeki, łączący, Dominium angielskie



Wodospady Niagary

ze Stanami Zjednoczonymi. Wreszcie! — Srebrną kaskadą, rozpryskując się o głazy i złomy, stacza się po przeciwległej ścianie pierwszy wodospad.

Dążąc dalej pięknym bulwarem, stajemy przed drugim jeszcze potężniejszym: „Horse Shoe Fall“.* Tuż u stóp naszych rwą szmaragdowe fale, gonią się, pędzą ku przepaści i splatając na skraju warkocze z piany, giną w chaosie, w kłębach oparu, w wirze i wrzątku czeluści.

I zda się oszołomionemu widzowi, że dobra wróżka przeniosła go w krainę baśni. Przechylonemu nad betonową poręczą, deszczyk drobno rozbitych kropel zrasza twarz i ręce. Jak spłoszone ptaki rozpraszają się myśli i przez moment, całą duszą chłonąc urok niezwykłego obrazu, zapominamy o życiu, ludziach, szarej codzienności...

Nastrój przerywa z nagłą trąbka automobilu, psują go kroki wałęsających się za naszymi plecami przechodniów. Wzrok niechętnie zwraca się ku rzędom brzydkich budynków i gmachów, rozrzuconych po obu brzegach. Parbleu! Sześć milionów koni parowych musi płacić daninę technice białego człowieka.

O zachodzie, gdy ostatnie, słoneczne promienie rozpalają tęcze na wzburzonych wodach, odchodzi-

* Wodospad „Końskiej Podkowy“.

my, unosząc w pamięci ich wierne i niezatarte odbicie.

* * *

W dniu, w którym opuszczałam Kanadę, pierwszy śnieg sypał gęstymi płatami, a październikowe zimno przejmowało już do szpiku kości. Okręt ruszał z wolna z montrealskiego portu. Wyprowadzały go dwa holowniki, syreny wyły jak opętane, ludzie biegali po pokładzie, machając rękoma, przesyłając pozdrowienia pozostałym na lądzie krewnym i znajomym. Przestrzeń wody przed nami rosła powoli, jakkolwiek na statku nie odczuwało się jeszcze najlżejszego ruchu. Dopiero za dobrą chwilę nastąpiło łagodne huśtanie. Montreal zniknął — płynęliśmy w pierw do Quebec'u szerokim korytem rzeki św. Wawrzyńca.

Nic miłszego nad efemeryczny pobyt na okręcie. Znają się wszyscy, a jeden o drugim nic nie wie, mało kto pyta o nazwiska, nikt nie ciekaw szczegółów o sąsiedzie, bo każdy zdaje sobie sprawę, że w następnym porcie dorywcza znajomość, przelotna sympatja skończy się życzliwym skinieniem głowy i już tylko przypadek mocen je kiedyś odnowić.

Dnie, chociaż niezbyt urozmaicone, nie wywołują najmniejszego znudzenia. Po śniadaniu zwykle „15 minut dla zdrowia“, t. j. szybki spacer dookoła po-

kładu, potem mniej lub więcej ciekawa konwersacja z współtowarzyszami i towarzyszkami drogi, dalej *lunch*,* *siesta i dolce far niente* przy muzyce i filiżance herbaty. Wieczorem po obiedzie tańce, teatryki, wkońcu doskonały, dziecięcy niemal sen wśród kołysania.

A morze? — Wspaniałe we dnie, najpiękniejsze w nocy przy blaskach księżyca, godzinami przykuwa nas do burty parowca, zwłaszcza w czas wietrzny, gdy gniewne, wrogie pieni się w pasji i chęci zdruzgotania intruza.

Przyszło mi raz na myśl uprosić inżyniera statku o pozwolenie zejścia w głąb, do maszyn, na co surowy marynarz zgodził się nie bez trudności, niemniej poprowadził osobiście.

Ogromne walce pracują tam hałaśliwie, ich rytmiczne ruchy więżą wzrok. Trzeba jednak pilnować się dobrze, ażeby w ciasnych przejściach nie zaczepić suknią i nie paść ofiarą bezdusznego potwora. Wąskie, żelazne drabinki tańczą pod stopami, nogi plątają się nie znajdując solidnego oparcia.

Weszliśmy jakgdyby w czeluść ciemną, choć oko wykol, duszną od żaru pieców. Ktoś otworzył rozpalone drzwiczki, oświetlając uwijające się półnagie postacie z chustami w zębach jako zabezpieczenie

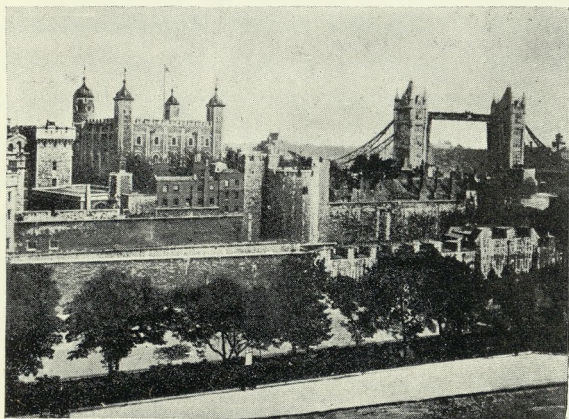
* Drugie śniadanie.

przed pyłem węglowym. W ciemnościach brzmiały ochryple głosy, turkotały wózki z węglem, pchane pośpiesznie silnemi ramionami.

Zatrzymał się przed nami chudy chłopak z osmoloną twarzą, mamrocząc coś niewyraźnie przez brudną szmatę. Towarzysz mój sięgnął do portmonetki i pełną garść drobnych monet wysypał na dłoń robotnika, śmiejącego się z zadowolenia od ucha do ucha. Za te pieniądze obwarzanek dla dziecka lub żonie skromny podarunek, a może — w portowej spelunce butelka złego alkoholu, dziewczyna, płasy półdzikie przy krzykliwym instrumencie, biedna „radość życia“ człowieka tej klasy.

Po tygodniu podróży dotarliśmy szczęśliwie do Southampton w Anglii, skąd nie zwlekając, odjechałam do Londynu. Trzy dni, okres zbyt krótki, na zwiedzenie ogromnego miasta, lecz można od biedy uczynić to bez programu, bodaj po łebkach, więc dalejże do — British Museum.

Bogactwo zbiorów z miejsca nas oszałamia. Mijając salę za salą, czuje się wzrastający w głowie chaos, a dzieła sztuki greckiej, rzymskiej, egipskiej czy asyryjskiej, pozostają dla nas nadal dziedziną tajemnicy. Sunąc odważnie dalej, gubimy się coraz bardziej. Z otwartych pudeł patrzą ku nam mumje. Potem rzut oka na brzozy, cudowne kolekcje etno-



Tower w Londynie



Pałac Buckingham'a i pomnik królowej Wiktorji

graficzne, wszystko uporządkowane, ponumerowane z podziwu godną starannością — wychodzimy odu-rzeni, zdolni zaledwie do skonstatowania, że wszystkie części świata złożyły się na ten skarbiec.

Następnie kilka godzin krążenia po ulicach dało mi możność zanotowania pewnych obserwacyj. Londyn jest ciekawy przede wszystkim z racji swoich rozmiarów i ruchu, w którym wyczuwa się tętno olbrzymiej pracy. Piękno stolicy leży w tej potędze, bo architektonicznie, zdaniem bardzo wielu, ani surowa wielkość tumu św. Pawła, Westminster czy Buckingham Palace nie budzą entuzjazmu. Zresztą upodobanie Anglików do długich koniecznie i niskich budowli jest podobno specyficzną cechą wszystkich monumentów tego kraju.

Błądząc po zaułkach, zdala od gwaru śródmieścia, z satysfakcją oddychamy atmosferą przeszłości. Każdy staroświecki kapelusik, mantylka, zapadła uliczka, wiekowa tawerna żywo nas interesują. Definitywnie — miasto Shakespearów, Dickensów pozostawia w umyśle ślad bez porównania głębszy aniżeli wszystkie „sky scrapers’y“* całej Ameryki Północnej.

W Hull ładny, mały stateczek „Premjer“, własność Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowe-

* Drapacze chmur.

go, przygotowywał się już do odjazdu, kiedy z walizką w ręku wpadłam z rozmachem na pomost. O radości! Swojska załoga, obsługa, mowa, otoczenie! Tylko sześcioro angielskich gości, pięknych, długowłosych wyźłów wylegiwało się na pokładzie pod płóciennym namiotem.

Wykołysała nas wtedy niezgorzej jesienna burza na morzu północnem. Okręt kładł się formalnie na boki, wspinał na pagóry wodne, zsuwał w otwierające się przed nim przepaście. Nie mogąc usnąć w nocy, spoglądałam przez okrągłe, bezustannie zalewane okienko kajuty, a w pamięci błąkał się urywek jakiegoś przypadkiem zasłyszanego wierszyka:

„Hej zagaś światło sterniku!
Zły duch zstąpił na wody,
Pośród zamętu i ryku
Prowadzi śmierć korowody...“

Chcąc zabić czas a raczej nieuniknioną w takich momentach bezsenność, mimo zakazu wyruszyłam pocichu na pokład. Morze szalało, wyjąc głosami piekła, a i deszcz ostro zacinał. Trzymając się poręczy, po omacku dotarłam do budy psów. Chorowały straszliwie, skamląc głośno ze zmęczenia i strachu. Wnet jednak podszedł ku mnie jakiś marynarz z latarnią w ręku, zalecając, kategorycznie zresztą, powrót do kabiny.

— Dlaczego pani jeszcze nie śpi?

— Bagatela! Czy w taką porę można wogóle spać?

Śmiał się, walcząc z drzwiami, które wiatr silnie przypierał — wreszcie przeciąg z hukiem je za mną zatrzasnął. Należało jeszcze zejść z kilku nie wysokich schodków, gdy nagle... jak piłka stoczyłam się po nich, trafiając głową w ścianę, potem w drugą, trzecią, ażeby ostatecznie runąć jak długa na środku jadalnej sali. Nim przyszło oprzytomnienie, u góry rozległ się zgoła nieprzyjemny trzask. Tym razem fala wpadła na pokład. Biedne setery!

Ocknęliśmy się na spokojnej wodzie, u wylotu kanału kieleńskiego, przez który jednak długo nie chciano nas przepuścić. Zbawcza przystań zapchana była okrętami, szukającemi w niej schronienia przed huraganem, a w dodatku jeden ze statków towarowych skutkiem nieostrożności i pośpiechu utonął tuż u jej wejścia. Ruszyliśmy dopiero około południa, płynąc przesmykiem nieskończenie wolno pod okiem niemieckich pilotów. U schyłku dnia Bałtyk przywitał nas dobrze znanym, groźnym pomrukiem.

Ścigały się grzywiaste bałwany, latarnie morskie tajemniczo migotały w ciemnościach, ale u wrót do kraju nic już nie przyciągało uwagi, a tylko jedna myśl uparcie świdrowała w mózgu: byle prędzej, byle bliżej.

Ojczyzno, Ojczyzno!

Trzeba Cię było opuścić, ażeby w kanadyjskiej puszczy dumać samotnie, ryjąc na korze drzew ów magiczny wyraz:

Polska.

Jak często — o zachodzie słońca, w godzinie cudu z purpury i przepysznego błękitu, oczy zamknięte na blaski, widziały jedynie dalekie, szare, zapłakane niebo...

Nareszcie! Gdańsk — Nowy Port!

Nudne formalności, przeglądanie paszportów, rewizja celna, pierwszy dzień stracony na przebieganiu korytarzy Urzędu Emigracyjnego. A wieczorem w pociągu kilka osób przyglądało mi się ciekawie, nie rozumiejąc dlaczego zalewam się łzami, patrząc uporczywie w okno, za którym dla nich była tylko szaruga i noc. Póki nie padło stereotypowe pytanie:

— Pani zdaleka?

— Z Kanady.

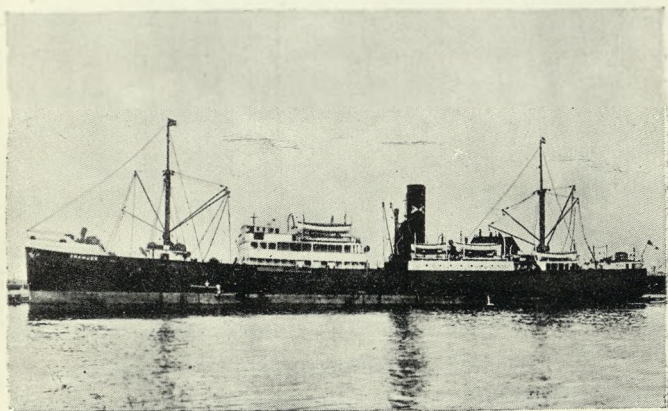
— ??

— I długo pani tam przebywała?

— Cztery lata.

— !!!

Zdrzemnęłam się ostatecznie z twarzą spłaszczoną na szybie. Z komórek podświadomości wylęły naraz wspomnienia, mgliste, senne obrazy przebytych niedawno dni.



Statek pasażerski Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego: „Premjer“



Śniegi... mróz z wichrem i pustka nieogarniona. Idę a raczej niosą mię nogi, których nie czuję. Tchu brak aż płuca rozsadza, lecz głębiej odetchnąć trudno, bo powietrze ostre jak sztylety, zaś odpocząć — to chyba zamarznąć. A dom — miły Boże — gdzie Rzym, gdzie Krym — tylko w połowie drogi, nad wielką zatoką, w gąszczu ośnieżonych świerków, niski *campe* francuskiego osadnika wabi rajem jasnego i ogrzanego wnętrza. Jeszcze pięć mil — trzy — a ostatnia jest długa jak wieczność.

Światło! — Potem z otwartych drzwi bucha dobroczynne ciepło i zapach gotowanej w klonowym syropie fasoli. Ktoś zdejmuje mi z nóg zlodowaciałe mokasyny, pochyla się nade mną pocziwa, czerwona twarz starej kolonistki, a usta wymawiają serdeczne: *vous êtes la bienvenue*.

Może to niebo? — Ale za jakie zasługi?

Lecz ot i lato w tym północnym kraju gorące, rozdzwonione stugębną pieśnią źródeł, jezior, potoków...

Wiosłuję po szerokiej rzece z duszą na ramieniu, mierząc co chwila okiem odległość od brzegu, bo łódź dziurawa szybko bierze wodę, zanurza się głębiej, płynie coraz wolniej... Choć ręce mdleją,

a w oczach aż ciemno z wysiłku, wiosła uderzają miarowo w ciemny, rwący nurt.

Nim jednak uszkodzony korab ze zgrzytem zarys się w piasek, pies leżący dotąd nieruchomo na dnie, strząsnął fontannę wody ze zmoczonych kudłów, zanim raz jeszcze oboje rzuciliśmy na szafirową głębie triumfujące spojrzenie — pociąg pośpieszny dobiegł kresu mej wędrówki, stając z rannym brzaskiem na katowickim dworcu.

SPIS ILUSTRACYJ:

1. Mount Rundle i jezioro Vermilion w Górach Skalistych
2. Jezioro Luiza i lodowiec Victoria
3. Hotel Windsor w Montrealu
4. Parowiec na rzece św. Wawrzyńca
5. Montreal. Kościół Notre Dame
6. Montreal. Ulica St. Catherine
7. Rysi Zakątek
8. W Abitibi
9. Przed „campem“ osadnika
10. Sadyba w puszczy
11. Jeziorem Shabogama w zimie
12. Przez śnieżną pustynię
13. Traperska sielanka
14. Pirogi
15. Indjanki z plemienia Algonkinów
16. Trofeum
17. Winnipeg. Gmach parlamentu
18. Winnipeg. Przed magazynem firmy Hudson Bay Co.
19. Winnipeg. Bizon w ogrodzie zoologicznym
20. Jezioro Minnewanka w stanie Alberta
21. Wodospad Johnsona (Johnson Canyon Falls) w Górach Skalistych
22. Castle Mount (Góra Zamkowa)
23. Wodospady Niagary
24. Tower w Londynie
25. Pałac Buckingham'e'a i pomnik królowej Wiktorji
26. Statek pasażerski Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa okrętowego:
„Premjer“

27. ?

T R E Ś Ć:

| | str. |
|---------------------------------|------|
| I. Kartka z dziejów | 7 |
| II. Quebec i Montreal | 25 |
| III. W puszczy | 37 |
| IV. Ludzie Północy | 53 |
| V. Na Zachodzie | 67 |
| VI. Wśród emigrantów | 83 |
| VII. W konsulacie | 93 |
| VIII. Droga ku Polsce | 105 |

24-

1881/2500 Co

N. S. p. 13/18 264



1/20

